

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 17 września 1961 r.
Nr 37 (185) Cena 1 zł



na
str. 12

ORAZ

HUSZCZA
- Satyry

NIENACKI
- Worek
Judaszków

PIECHAL
- O Ma-
cedonii



mocni

ALEKSANDER
ROWIŃSKI

ludzie z trójkąta



Przydreptała śmiesznym truchtem Julietty Massiny. Mała, zbiedzona kobietka. Wykarmiona na burakach, sacharynie i surogatach żywnościowych niemieckiej Rzeszy. Gdy miała piętnaście lat okupant uznał, że biedna, opuszczona dziewczyna niepotrzebnie pęta się po Generalnej Guberni, podczas gdy może oddać niewatpliwe usługi rolnictwu w Lotaryngii. Posłano ją na roboty. Nauczyła się obsługiwać krowy i puszczać. Nigdy jej nie zapachniały swojsko niemieckie pola. Z zebraną sumą wiedzy o życiu, doświadczenia w 1945 odwrót w kierunku Polski. Pod koniec roku znalazła się w Łodzi. Było pa-

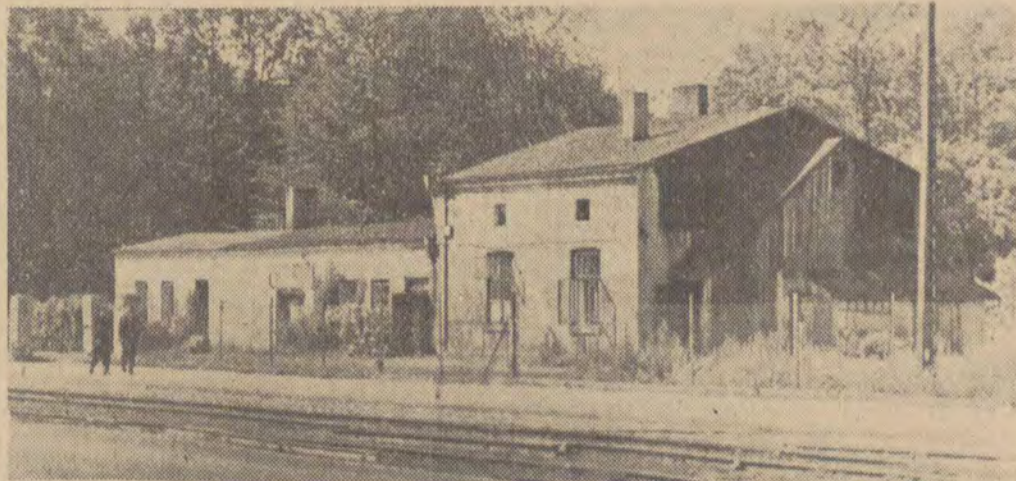
skudnie. Nie czekali na nią w czynszowej kamienicy między zadnią ścianą domu a ubikacjami, znalazła zrujnowaną komórkę. Tam się wprowadziła. Za zgodą władz. Władze, lecz zwłaszcza ona, były przekonane o tymczasowości tego lokum. Powiada, że wszystko miało w swoim życiu: kandydatów na mężów, dobrą pracę, eleganckie radio, bicie. Nie zaznała tylko szczęścia. Wygląda groteskowo. Śmiesznie stąpa, włosy ma jak Pola Negri. To ostatnio modne. Ale ona nie z mody, a z natury. Tylko ręce wzięte są z innej postaci. Rozczłapane. Za wielkie. Ręce tkaczki, która odchodzi od maszyny i idzie oporządzać

dom. Sprząta, pracuje, karmi córę i opiera. Córki ma dwie; licealistkę, świetnie uczącą się, chociaż co roku wile tygodni spędza w sanatorium, odpokutowuje za wilgoć żrącą ściany mieszkania i pierwszoklasistkę, jasną pulchną, niepodobną do siostry — jak krzew tej samej rośliny szczepionej na innym pniu. Spia razem w poprzek debowej połówki, która wchodziła kiedyś w skład łóża małżeńskiej sypialni. Spia we czworo. Ich trójka i ten tam. Nie ma... dochodzący. Przydziałowa komórka dawno już stała się mieszkaniem. Polatano nad nią dach, otynkowano ściany. Stół, szafa, łóżko i mała

kuchienka zapełniają całe dziewięć metrów kwadratowych powierzchni. Nikt nigdy nie łączy po sąsiedzku obory z salonem. Tutaj dokonał się ten megalomanijski z brudnego zagraczonego podwórka, z trzepakiem i centralnie położonym rynsztokiem, mijając smrodliwe ubikacje, wchodzi się do wypielegnowanego, czystego, chociaż ciasnego zakątka. Dziewięć metrów — po trzy na osobę. Dochodzący zabiera po trochu od każdej.

Mała, niezaradna kobietka nauczyła się być zrzędną. Bierze czasami na kolana jasną córkę i powtarza jej zdanie, od którego cierpi nie skóra: — Niech przyjdzie wojna — to mieszkań będzie dużo. A ludziom mówi: — Wszystko znalazłam prócz szczęścia. I mieszkam jak pies. To było pierwsze spotkanie. Drugie rozpoczęła Anna Krawczyk. Wyznania w pełnym świetle dnia nie są przekonujące.

Dalszy ciąg
na str. 6



Ten dom przy ul. Pabianickiej liczy sobie prawie 100 lat.

KAROL BADZIAK

ANATOMIA TAJCHMANSTWA

Niedawno w łódzkich kinach wyświetlano interesujący film o triumfie adwokata. Oczywiście mam na myśli film O. Prentisa pt. „Anatomia morderstwa”. Młody oficer amerykański morduje właściciela restauracji za do-

konanie gwałtu na jego (oficera) żonie. Oglądając piekielny temperament i uległość owej osobki nabieramy jednak w końcu wątpliwości co do tego gwałtu (?) Morderca przyznaje się adwokatowi do popełnienia czynu, a rze-

czą obrońcy jest wybrać teraz najdogodniejszą wersję zabójstwa. Adwokat nie wnikając w motyw i w prawdę wybiera zabójstwo w samoobronie. Tak więc film zaczyna się w tym miejscu, w którym przeważnie kończą się

westerny. Z tą tylko różnicą, że kowboje nie posiadają koni, a rzecz cała dzieje się nie w stepie lecz w kameralnej atmosferze sądu. Film ten jest o tyle ciekawy, że zrywa z utartym powszechnie dotychczas i w literaturze i w filmie wzorem adwokata — obrońcy sprawiedliwości, adwokata — obrońcy prawdy. Widz wychodzi z kina przekonany, że tylko dzięki zręczności i przebiegłości swego obrońcy morderca uniknął kresła elektrycznego. Rzecz jasna, że środki i kruczki prawne jakich użył adwokat u „młodego” nieśli się cały czas w granicach norm prawnych. Ale nie mieszczyły się w granicach norm moralnych. Posługując się je-

zykiem prawniczym należało by dodać, iż okolicznością łagodzącą w stosunku do adwokata był tu fakt, że i prokurator używał chwytów niedozwolonych. Przewód sądowy stał się więc pretekstem do demonstracji prawniczej kazuistyki oraz dialogiem dwóch błyskotliwych inteligencji. Adwokatowi i prokuratorowi nie zależało wcale na wykryciu prawdy, ale na udowodnieniu swych racji, zaspokajających ich zawodowe ambicje. W konsekwencji proces stał się sztuką dla sztuki, w której gubi się prawda, a adwokat i prokurator zamiast pomagać sądowi w jej wykryciu poprzez różnorodne komplikacje zaciemniają jej rzeczywisty sens. Prokurator przypomina więc karta żądne-

go głowy skazańca, a adwokat tego, który zamiast zużytkowywać swoje siły na rzeczywistą obronę oskarżonego, stara się oszukać i wprowadzić w błąd sprawiedliwość. W tym konkretnym wypadku robi to nawet skutecznie. Triumf adwokata jest klęską sprawiedliwości. Oskarżony spełnia dla niego rolę podrzędną, staje się środkiem dla osobistego i zawodowego sukcesu obrońcy. Do rozważań na ten temat nie natchnął mnie jednak film, ale proces adwokata J. Tajchmana. Bo jeśli film ukazuje kryzys sądownictwa w ogóle, to proces Tajchmana pokazuje ten sam prob-

Dalszy ciąg na str. 2

Polityka na ulicy

Na ogół ludzie lubią politykę. Zwłaszcza „nasi ludzie”. My, Polacy, mamy pod tym względem wyrobioną opinię i duże tradycje. Co drugi Polak ma genialny mądrą głowę. Nie ma spotkania towarzyskiego, na którym by przy kieliszku, albo bodaj przy pół czarnej nie reformowano świata, nie godzono poważnych narodów, lub nie wypowiadało wojny. To są na ogół dobre nawyki. Ale czy zawsze dobre tradycje? I czy zawsze dobra polityka?

Np. Cat-Mackiewicz pozwoił sobie w ostatnich „Kierunkach” na dość ryzykowny sąd. Mianowicie wyraził przekonanie, że przed 39 rokiem niemożliwe było utworzenie rządu — nazwijmy go — jedności

narodu. Zanim by bowiem, powiada Cat, poszczególne stronnictwa zdołały się porozumieć, Hitler byłby już w Warszawie. Wypadki bowiem zaszyły tak daleko, że nie było czasu na rozmowy. O reformie rządu (właśnie: czy tylko rządu?) trzeba było myśleć wcześniej. Cat, oczywiście, nie ma racji. Odwołać się do tego, co naród łączy — nie zdążyli, a Bereżę wybudować zdążyli. Cat-Mackiewicz formułując swój sąd nie opiera go na analizie konkretnych warunków (które go mogły zrodzić), lecz odwołuje się do ogólnonarodowych stałych cech Polaków, w sposób jak zawsze błyskotliwy, a więc i zaraźliwy — kłótniowości, niezgody; te rzekomo trwałe cechy, przekreśli-

łyby, zdaniem Cata, wszelkie porozumienie i ratunek. Nie ma mowy o ogólnonarodowym interesie, ponieważ każdy Polak myśli po swojemu.

Przytaczam Cata-Mackiewicza tylko dla przykładu, a nie dla polemiki z jego historiozofią; to jest osobna sprawa. Ale ten sposób patrzenia na sprawy świata, jaki marginalnie zresztą zademonstrował Cat, cechujący niektórych naszych rodzimych rzeczoznawców, którzy bardzo chętnie operują ogólnikami, „my tacy”, „oni siacy”, a inni „siacy, tacy, owacy”, konkretne myślenie zastępują schematami, nie wykazując absolutnie

Dokończenie na str. 12

JACEK LEBEN



Mówił o tym w czasie swego dożynkowego przemówienia, jak zwykle z głęboką powagą, głęboką wiarą w swoje słowa — Władysław Gomułka. Oto cytuję: „W wieku straszliwej broni termojądrowej i rakiet balistycznych, w wieku, który już wydał pierwszych kosmonautów — Gagarina i Titowa — bohaterów synów wielkiego Związku Radzieckiego, w wieku istnienia potężnego światowego systemu socjalistycznego trzeba i można być przekonanym, że do wojny nigdy nie dojdzie, a zwłaszcza, że nie będzie wojny o Berlin”.

A oto słowa premiera Chruszczowa z wywiadu u d. leńskiego Sulzbergera z „New York Timesa”: „Sądzę, że między stanami krajów zachodnich nie są ludzie, którzy stracili rozsądek i byliby gotowi odpowiedzieć wojną na podpisanie traktatu pokojowego. Rozumiem oni co znaczy w obecnej epoce zaatakowanie nas. — Byłoby to równoznaczne ze skazaniem się na zniszczenie! Nie jest też przypadkiem, że nawet Adenauer i Brandt, którzy nastraszali swoją ludność wojennymi deklaracjami, teraz krzyczą najgłośniej, że wojny z powodu Berlina nie będzie, lecz że będzie rokowania. A my tego właśnie chcemy. Chcemy pokoju. W imię tego właśnie domagam się likwidacji pozostałości drugiej wojny światowej”.

Zaistniała w tej chwili taka sytuacja, nastąpił wzrost napięcia międzynarodowego, że najbardziej odpowiedzialni przywódcy naszego świata poculi się w obowiązku powiedzieć: wojny o Berlin nie będzie. A ci wszyscy, którzy do współczesnego świata nie przykłada miarek z wojen napoleońskich rozumieją, że we współczesnym świecie, we współczesnym układzie sił na arenie międzynarodowej wojny nie można już usprawiedliwiać żadnym imieniem, żadnym celem. Trzeba natomiast w warunkach równowagi strachu i wysięgu zbrodni usunąć drastycznie punkty napięcia. W tym kierunku zmierzają polityka krajów socjalistycznych.

Jak wiadomo istnieją dwie metody wychowawcze — perswazja i przymus. Można obie te metody stosować na przemian. Przez wiele lat Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne stosowały w stosunku do mocarstw zachodnich metodę perswazji. Od listopada 1958 roku tzn. od chwili wysunięcia przez Związek Radziecki propozycji odnośnie przekształcenia zachodniego Berlina w wolne i demokratyzowane miasto, świat socjalistyczny starał się przekonać mocarstwa Zachodu, że anormalna, pozbawiona historycznego i prawnego sensu sytuacja w Berlinie zachodnim jest nie do pogodzenia z racją stanu NRD, z interesami świata socjalistycznego.

Współżycie różnych systemów i państw na wspólnej kuli ziemskiej musi być o-

partie przecież na zrozumieniu interesów drugiej strony. Przez blisko trzy lata próbowało to wytłumaczyć mocarstwom zachodnim, Chruszczow odrzucał decyzje w sprawie Berlina z jesieni na wiosnę, do rokowań ministrów, prosił o rokowania, czekał na rokowania, tłumaczył, nie chce podjąć jednostronnych decyzji. Byli już tacy na Zachodzie, którzy dostrzegali w tym oznaki słabości, twierdzili, że Związek Radziecki grozi ale kiedy trafi na twarde stanowisko Zachodu wycofa się. Prezydent Eisenhower uczynił nawet z tej twardości w sprawie Berlina główny atut w kampanii wyborczej swojej partii.

Jedynie mądrzy Brytyjczycy nadstawiali ucha na perswazje i próbowali tłumaczyć swym partnerom, że lepsze są rokowania z własnej woli niż pod przymusem. Niestety, nie zdołali tej oczywistej prawdy wytłumaczyć swoim partnerom. Stany Zjednoczone okazywały się na metodę perswazji absolutnie nieczułe. Prezydent de Gaulle trochę niedow-

przecież należy wątpić czy mocarstwa Zachodu gotowe będą poświęcić wszystko w imię tego by właśnie w Berlinie zachodnim kanclerz Adenauer wygłaszał swą odwetową przemowę i by właśnie tam odbywały się zjazdy odwetowe „Górnoślazaków”, „Prusaków” czy innych drani.

Decyzja Związku Radzieckiego w sprawie wznowienia doświadczeń z bronią termojądrową niewątpliwie była zaskakująca i szokująca dla niektórych ludzi. Decyzja ta podjęła przecież państwo, które jako pierwsze przerwało doświadczenia z bronią atomową i było gorącym orędownikiem walki o ich bezwzględny zakaz. Z jego inicjatywy zwołano genewską konferencję mocarstw atomowych. Jednak 31 miesiące genewskich rokowań rozwiąły wiele złudzeń. Zachód prowadził bowiem na tej konferencji perfidną grę dyplomatyczną. Do stałego arsenału środków hamujących porozumienie jak np. ciągłe wysuwanie autorytatywnych propozycji co do kontroli desza jeszcze próba usarkcjonowania doświadczeń podziemnych, jako leży strasnym dla opinii publicznej. Stany Zjednoczone przygoto- wywały się do tych prób przez cały okres atomowej ciszy. Ponadto Francja złamała te cię- szej przeprowadzając własne doświadczenia atomowe na Saharze. Podział ról był więc wyraźny. Stany Zjednoczone i W. Brytania miały przeprowadzać doświadczenia podziemne zaś Francja doświadczenia w atmosferze. ZSR — żadnych.

W tej sytuacji rokowania genewskie stanowiły jedynie dymina zasłone nad dalszymi zbrodniczymi, a przecież w intencji Związku Radzieckiego leżał zakaz wszelkich doświadczeń, co miało stanowić pierwszy krok na drodze do rozbrojenia. Rząd Związku Radzieckiego rozwał więc dymina zasłone. Zdecydował się znów na zaszcieszenie jedynie w odniesieniu do upartych i twar- dogłowych metody wstrząsu. Wznowienie przez Związek Radziecki doświadczeń atomo- wych zakładających między innymi próby z bombami wodoro- wymi o potężnej sile niszczącej równiejsi stu milionów ton trotylu unaczyniali całemu światu grozę obecnej sytuacji i doprowadzając w końcu do tego, że nie znajduje się już przywódca na Zachodzie, który by nie deenil radzieckiej potęgi militarnej.

Metoda wstrząsu podzielała — jak dotąd — dobrze. Rządy Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii błyskawicznie skon- struowały note do rządu radzieckiego, w której wyrażały gwałtowne podzielenie natych- miast porozumienia co do całkowitego zakazu doświadczeń na ziemi, zachowując sobie o- czywiście prawo do przeprowa- dzenia doświadczeń pod ziemią. Prawokacyni charakter tej noty jest oczywisty, ale chodzi o coś ciekawszego. Oś- 12 same mocarstwa zachodnie, które przez 34 miesiące roko- wań nie chciały podpisać ro- zumienia nagle sa gotowe uczynić to bez żadnych wstęp- nych bajerek na temat kon- troli. Natomiast zachodnie ra- diostacje podają wszem i wo- bec miejsce, datę i silę ra- dzieckich próbnych wybuchów nuklearnych, obalając tym sa- mym przecież własną teorię o tym, że bez kontroli Związek Radziecki może je przeprowa- dzać w tajemnicy.

W całym świecie panuje przekonanie, że zbliża się czas rokowań o Berlin i Niemcy. Wojna nerwów ze wszystkimi jej niepokojącymi militarnymi aspektami prowadzi nie do wojny ale właśnie do roko- wań. W tym samym stopniu, w jakim rządy i narody kra- jów socjalistycznych pragną pokój, rządy mocarstw za- chodnich muszą się bać roz- grywki wojennej.

WSTRZĄS CZY PERS- WAZJA?

dzi, gdy chodzi o sytuację po- lityczną.

W tych warunkach, zwiast- cza, że kiedy niemal pewne jest, że w ciągu najbliższych 12-18 miesięcy Niemiecka Re- publika Federalna zechce się- gnać po broń atomową zdecy- dowano się na metodę wstrzą- su.

13 sierpnia rząd NRD usta- nowił granice państwową mię- dzy swoją stolicą, a Zachod- nim Berlinem okupowanym przez zachodnie mocarstwa. Po obu stronach Oceanu wniósł się pod niebiosa hister- yczny krzyk, a rząd Stanów Zjednoczonych podał typową dla siebie decyzję i wprowa- dził do zachodnio-berlińskiej pulapki na myszy jeszcze pół- tarysiu żołnierzy. Po ty- godniu fala hysterii opadła i wyszło na jaw, że mocarstwa zachodnie sa zupełnie bezsilne wobec decyzji rządu NRD.

Metoda wstrząsu podzielała, kanclerz Adenauer i jego wy- borcy — przeciwnik. Willy Brandt zaczęli się liętować w nawoływaniu Zachodu do rokowań. Dwanaście lat trze- ba było czekać na moment kiedy sam kanclerz Adenauer, rycerz nad rycerze w zimnej wojnie, zaczął właśnie do ro- kowań nawoływać. Dlaczego? Zdał sobie bowiem z tego sprawy, że im dłużej nie bę- dzie rokowań, tym więcej bę- dzie faktów dokonanych, któ- re obnażą całą bezsilność Niemieckiej Republiki Federalnej. Tak się też dzieje — za pierw- szym posunięciem poszły na- stępne. Nota Związku Radzie- ckiego do mocarstw zachod- nych w sprawie korzystania z kanałów powietrznych nad NRD wiedzących do Berlina za- chodniego. Nota zwraca jak- wiadomo uwagę na to, że kanały powietrzne miały słu- żyć zaopatrywaniu wojsk za- chodnich w Berlinie, a nie prowokacyjnym celem NRD. A

ANATOMIA TAJCHMANSTWA

tem tylko w skali pomniejszonej, zwulgaryzowanej i jeszcze bardziej skrajalej. Z tą tylko różnicą, że środki jakich Tajchman używał do obronienia swoich „klientów” nie mieściły się ani w granicach etyki, ani w granicach prawa. Adwokat Tajchman bronił drogą nielegalną i za to został ukarany.

Tak się jakoś złożyło, że niemal w tym samym okre- sie czasu na ławach oskarżo- nych „znalazło się pięciu” ad- wokatów w różnych niastach Polski. Aleksander Rowiński w „Prawie i Życiu” pisał na ten temat co następuje: „W Koszalinie, Poznaniu, Łodzi, Warszawie, Kielcach, Bielsku- Białym — od Bałtyku po Be- skidy — stanęli przed są- dem adwokaci, w niezwyklej roli — oskarżonych”.

I dalej stwierdza: „adwokat sżyje więc buty całemu wy- miarowi sprawiedliwości”. Ow- szem, zgadzam się z Rowiń- skim, że casus Tajchman i inni sżyja buty wymiarowi sprawiedliwości. Ale po pierw- sze nie całemu, bo przede wszystkim jednemu jej współ czynnikowi, czyli w pierw- szym rzędzie adwokataturze, a po drugie, nie należy ge- neralizować „od Bałtyku po Beskidy”, bo ostatecznie wy- pada jeden na sto. Tego ro- dzaju proporcji można by się doszukać i w innych bran- żach, od zakonników poczy- nając, a na reporterach koń- cząc. Nie to jest jednak istot- ne — aczkolwiek dla samych adwokatów bardzo bolesne — lecz teza generalna całego artykułu Rowińskiego, który mówi, że jednym źródłem zła są sami adwokaci. Rozu- mowanie to posiada w sobie dwa błędy jednocześnie: błąd wynikający z przyczyn logicz- nych i społecznych. Rozumu- jąc w ten sposób co Rowiń- ski, można by powiedzieć, że źródłem zła są zł ludzie, a źródłem dobra są ludzie dob- rzy. A bo to prawda!

To jest jednak problem marginesowy w porównaniu z odpowiedzią na pytanie, dla- czego adwokat tego typu co Tajchman mógł w ogóle dzia- łać i to przez taki długi o- okres czasu. Przecież sąd nie sądził tylko adwokatów, ale i tych co stworzyli zapotrze- bowanie społeczne na takich jak Tajchman, a nie innych adwokatów. Tak więc naj-

pierw powstaje zapotrzebowa- nie społeczne, a później ro- dzą się ci, którzy zapotrzebo- wanie społeczne zaspokaja- ją. Stwierdzenie, że adwo- kaci wyłącznie sami zapra- cowali na swój model jest nieprawdziwe, bo niepełne, tzn. jest tylko półprawdą.

Siedziałem z uwagą prze- bieg procesu Tajchmana i muszę podkreślić — to nie jest przypadek, że współos- karżeni w tej sprawie ziali do siebie nienawieść, jak nie jest także przypadkiem, że Tajchman nie znalazł się sam na ławie oskarżonych. Nie działał on przecież w próżni. A jako dowód na to służy cztery „załączniki” w osobach czterech współoskar- żonych. W procesie tym naj- istotniejsze było właśnie usta- lenie, w jakim stopniu Tajch- man „oddziałal” na czterech swoich współników, a w ja- kim stopniu współnicy „od- działali” na niego. To była główna zasada moralna pro- cesu. Nieprzypadkowo też wszyscy adwokaci występują- cy w tej sprawie obrali jed- nakową linię obrony. Obroń- ca Tajchmana oczyszczał go poprzez delikatne, ale spy- chanie winy na pozostałych oskarżonych. Obrońcy współ- oskarżonych rozgryzali swych klientów przed sądem nurzając z kolei w błocie głównego oskarżonego. Cha- rakterystyczne, że wszyscy obrońcy rozpoczynając swe mowy czuli się w obowiązku poświęcić kilka słów roli adwokata we współczesnym układzie stosunków społecz- nych. Wyglądało to tak jakby uosabiali oskarżonego adwo- kata z oskarżeniem całej ad- wokatury. Nie wiem czy to było świadome, czy wynika- ło ze skrupułów i nadmier- nej wrażliwości cechującej palestrę. W końcu przecież to nie był proces adwokatury, ale tylko jednego adwokata. I wydaje mi się, że nie by- ło o co tak gorąco kruszyć kopii. Zjawisko tym bardziej żenujące, że przypominało człowieka, który się broni nie będąc atakowany. Takie zbro- rowe harakiri trudno ocenić. Jest że to poczucie współ- winy czy też zbiorowa obłąda?

Obyczaj jaki się obecnie w społeczeństwie wytworzył nie jest (jak tego chce Rowiń- ski, wynikiem samej li tylko postawy społeczno-moralnej adwokatów) przyjemny dla o- brońców. Klient odwiedza kancelarię adwokata i pierw- sze pytanie jakie najczęściej zada je to: „Czy pan mecenas

ma chody? Czy chodów nie ma?” Jeśli pan mecenas od- powie, że chodów nie posia- da, wówczas klient idzie szu- kać dalej. Adwokat, który be- dzie szczerze odpowiadał, że chodów nie posiada, zostanie cały miesiąc bez pracy. Naj- wyżej jakaś sprawa z urzę- du, jakaś pyskownia i la fi- nito. A czy lekarz mówi pa- cjentowi, że go nie wyleczy? Praktyka na co dzień jest więc całkiem inna. Kiedy klient pyta adwokata czy posiada on „chody” lub delikatniej „zna- jomości”, adwokat chrząka, drapie się niezdeterminowa- nie po brodzie, zastanawia mruży oczy i w końcu powiada: „Zro- bię co będzie w mojej mocy” lub „Zobaczę, może coś się uda zrobić, proszę przyjąć za parę dni”. Te kilka gestów i słów wysłarcza w zupełno- ści ażeby klienta „ugotować”. Adwokat oczywiście nie nie robi poza staranniejszym częstokroć przywołaniem się do sprawy. W ten sposób rodzi się jednak w społec- zeństwie mit o adwokatach z „chodami”, a więc i zara- zem o przekupnych sędziach, a więc i zarażem o prze- kupnych prokuratorach itd. itd. Pożywką dla tego mitu jest najczęściej nieznanie prawa przez nasze społeczeń- stwo. Sędziowie są przeważ- nie rozważni i sprawidliwi. Społeczeństwo nierozważne, niekompetentne i często ok- rutne w sprawach sądenia. Niestety, to prawda. Z tego też powodu wyroki sądów nie pokrywają się często z wy- rokami, jakie dają domorośli prawnicy. Oto jest główny społeczny mechanizm obniża- jący autorytet wymiaru spra- wiedliwości. Oczywiście, jeśli się znajdzie wśród pracowników wymiaru sprawiedliwości jakiś Tajchman, staje się on wtedy wodą na młyn plotki. „A nie mówiliem...”, „Ja już dawno o tym wie- działam...”. Tajchmanowie są koronnymi argumentami, ar- gumentami wymarzonymi, wy- sionymi po nocach. I dopie- ro w tym kontekście szkodli- wość ich czynów jest prze- rażająca.

A swoją drogą dziwię się, że takie pismo jak „Prawo i Życie” potraktywało adwoka- tów — siegając do przenośni Aleksandra Rowińskiego — jak kiertel baranów, z któ- rego co jakiś czas bacia wy- ciąga jedną sztukę i powoli systematycznie podrywnała gardło mruczy z ulecha: „Oj, nie lubisz ty tego, nie lubisz”.

A kto lubi?

KAROL BADZIAK

Wkrótce na ekranach kin!



„MILCZĄCE ŚLADY”

Najlepszy polski film
sensacyjno-kryminalny

Reżyseria: Z. KUŹMIŃSKI

W rolach głównych:

J. NOWAK

J. NALBERCZAK

W. SKOCZYŁAS

J. TRACZYKÓWNA

B. HORAWIANKA

L. WOJCIECHOWSKI

Mitchel Kowal

czyli

O'Raviec

Trzech amerykańskich Polaków: Peter Nawrocki, Mike O'Raviec i Harry Kwasniak płyną do starego kraju statkiem „Batory”. Przyjeżdżają w odwiedziny — i nagle ich rodziny zostają postawione wobec faktu takiej wizyty. A więc — historia kilku polskich środowisk, które „mają gości”, zderzenie dwu mentalności, film nie o emigracji — ale o nas. Mike O'Raviec, syn starego Orawca z podkarpackiej wioski Piekelnik, przyjeżdża do kraju szukać sobie żony — ale już Harry Kwasniak ma cel bardziej merkantylny: odwiedza wszystkie polskie pobożowskie (Legnica, Grunwald, Psie Pole) i kopie ziemię, aby ją następnie sprzedawać w Ameryce...

Klamra, spinająca wizyty tych trzech amerykańskich Polaków jest przyjazd i odjazd „Batorego”. Ekipę filmu „Jadą goście, jadą” spotykamy więc w Gdyni, w Domu Marynarza. 22 sierpnia przybył „Batory”, w parę dni później odpływał z nową porcją pasażerów — te sceny „kręcili” trzej młodzi reżyserzy, Romuald Drobaczynski, Jan Rutkiewicz i Gerard Zalewski.

„Nie chcieliśmy już robić ani filmu o okupacji, ani o... dzieciach. Stąd pomysł „Gości” i realizacja — według scenariusza Jana Szczepańskiego”.

W filmie zobaczymy wielu popularnych aktorów: Wandę Koczwęską, Stanisława Miłkowskiego, Kazimierza Opalińskiego, Sylwii Zakrzewską. W sumie prawie 80 osób obsady aktorskiej plus statysty. Pierwszego bohatera, Nawrockiego, zagra młody kompozytor, Amerykanin studiujący w Warszawie — Paul Glass. Przedsiębiorczego sprzedawcę ziemi z pobożowskich — Zygmunt Zintel. Wreszcie: i tu miejsce na sensacyjną wiadomość: po raz pierwszy w polskim filmie zagra Amerykanin polskiego pochodzenia, znany aktor filmowy i telewizyjny, pamiętny u nas choćby z „Polowania na lokomotywę” czy „Trapera z Kentucky” — MITCHEL KOWAL w roli Mike'a O'Ravica.

Z Mitchelem rozmawiam w trzy dni po jego wyładunku w kraju. Ten popularny aktor amerykański mówi po polsku — aczkolwiek nigdy w Polsce nie był i urodził się już w Ameryce.

— Gdzie się Pan nauczył mówić po polsku?

— Moja matka pochodzi z okolic Krakowa, a ojciec z Kiele. Wyemigrowali w 1912 roku, poznali się już w Ameryce. Moje rodzeństwo i ja mamy polskie imiona (brat Tadeusz, siostry Bogusława i Stenia) a w domu rozmawiało się po polsku. Ojciec mówił do mnie tak: „Mieciu, jak się po polsku nie nauczysz, to lanie dostaniesz”.

— Czy Polska wygląda tak, jak ją Pan sobie wyobrażał?

— Ja się czuję tu tak, jakbym tu już nie raz był. Zawsze podkreślałem w Ameryce, że jestem Polakiem, a teraz wiem, że mogę być z tego dumny...

— Jakie były początki Pańskiej kariery filmowej?

— Mój ojciec pracował ciężko w fabryce i ja też przez trzy lata fizycznie pracowałem, aby móc wyjechać do Nowego Yorku. Tam zacząłem grać w teatrze na Broadwayu, najpierw małe role, potem większe. Miałem wtedy 21 lat a grałem 80 letnich mężczyzn. Potem zainteresowali się mną reżyserzy filmowi, wyjechałem

do Hollywood. Nakręciłem ok. 20 filmów i ponad 100 filmów telewizyjnych. Od paru lat gram w filmach włoskich, hiszpańskich, francuskich i szwedzkich, ukończyłem właśnie w Rzymie zdjęcia do nowego filmu „Le Pillole Di Ercole” a z Polski wracam znów do Rzymu.

— Czy praca w polskim filmie wygląda inaczej niż np. w Hollywood?

— Tu się pracuje świetnie! Wszyscy wiedzą co mają robić, macie bardzo dobrych kamerzystów, a co najważniejsze, mało krzyku. W Hollywood krzyczą bardzo, a w Rzymie jeszcze bardziej.

— Jak to się stało, że postanowił Pan zagrać w polskim filmie?

— Powiedziałem kiedyś do reżysera Lenartowicza, którego poznałem w Rzymie, że chciałbym zagrać w polskim filmie Polaka, który po latach wraca do kraju. Akurat taki scenariusz zaczęto realizować i napisano do mnie do Rzymu i do USA. Bardzo się cieszę, zawsze grałem „typowych Amerykanów” a nareszcie — gram siebie...

— O ile wiem, scenariusz przewiduje że Mike O'Raviec przyjeżdża do Polski, aby znaleźć sobie żonę...

— I to jest prawdziwe! Matka do mnie zawsze mówiła: „Mieciu, jedź do Polski, tam znajdziesz dla siebie żonę”.

— Czyli wyjątkowa zgodność losów bohatera i aktora... Ale, a propos, jakie wyimaginacje stawia Pan swojej przyszłej żonie?

— Może być nieduża i nie mała. Blondynka, ale ciemne też mi się podobają. Wolę oczy niebieskie, ale mogą być czarne. Wolę młode, od 18—35 lat. A najważniejsze: musi umieć cerować skarpetki i gotować kielbasę i kapustę!

rozmowę przeprowadziła
ALINA GRABOWSKA

P.S. Powyższą rozmowę z p. Kowalem przeprowadziłam mimo poważnych trudnień ze strony kierownika artystycznego Zespołu „Droga”, p. Antoniego Bohdziewicz. Ponieważ nie jest to pierwszy przypadek przeszkadzania przez p. Bohdziewicza w pracy dziennikarzy — zapytujemy w tym interesie leży, aby społeczeństwo nie było informowane o planach i pracach tego Zespołu Autorów Filmowych?

A. G.

Dziś

2

strony

MIE-
SZANKI



Mitchel Kowal w swych filmowych wcieleniach

EWA NURCZYŃSKA

„DROGA NA ZACHÓD”

W „Drodze na Zachód” B. Poręba przedstawia sensacyjną, prawie „westernowską” historię szaleńczej eskapady dwóch ludzi prowadzących pociąg z amunicją na front w ostatnich chwilach drugiej wojny.

Sensacyjna fabuła jest jednak dla twórców filmu jedynie atrakcyjnym pretekstem do analizy problemu, który swą wagą przerasta jej normalne ramy. Podejmują oni problem postawy człowieka wobec wydarzeń, które toczą się wokół, problem niemożności pozostania biernym, problem odpowiedzialności i solidarności wobec współtowarzyszy.

Bohaterami filmu są dwaj mężczyźni — emerytowany maszynista kolejowy (K. Opaliński) i jego przypadek pomocnik — trochę tajemniczy chłopak — inteligent (W. Kowalski).

Pociąg jadący na Zachód stał się dla tych dwojga wielką szansą. Dla starszego maszynisty poprowadzenie, po sześciu latach przerwy, pociągu jest okazją do udowodnienia otoczeniu i sobie własnej przydatności, okazją jeszcze jednego udziału w życiu, które przemija.

Dla chłopaka, który ucieka przed jakimś bliżej nieokreślonym (co spłyca po-

stać) zdarzeniami i wspomnieniami, praca pomocnika maszynisty jest sposobnością przedostania się jeszcze dalej na Zachód, do miasteczka, w którym mógłby zacząć nowe życie.

Chaos pierwszych powojennych dni i tragiczne wydarzenia stawiają tych ludzi wobec problemów, których nie oczekiwali. Daje to widzowi możliwość konfrontacji ich postaw.

Poczucie obowiązku nie pozwoliłoby starszemu maszyniście opuścić pociągu, którego nie ma kto dalej poprowadzić. Mimo fizycznego i psychicznego zmęczenia będzie prowadził swój pociąg aż do celu.

Chłopakowi, z chwilą dojeżdżania do miasta, które może stać miejscem stałego pobytu, pociąg staje się niepotrzebny. Poczucie obowiązku czy solidarności to pojęcia, które wojna, w jego mniemaniu, przekreśliła. Chłopak chce myśleć tylko o sobie. W tej postawie bierność wobec zdarzeń nieważnych dla własnych losów, pociąg i samotny w nim maszynista — stają się niespodziewanie przeszkodą, jakiej chłopak nie potrafi ominąć, by spokojnie realizować swoje prywatne zamierzenia. Wezwany kolejarskim sygnałem na pomoc, wróci do pociągu.

Można by sprzeczać się z twórcami o zakończenie filmu, o niepotrzebną śmierć chłopaka — znaleźćby zawsze argument — to jeszcze jedna z bezsensownych śmierci, które przynosi wojna. Film nie nastraja jednak pesymistycznie. Tam gdzie człowiek odnosi zwycięstwo nad samym sobą, tam zawsze znajdzie się optymistyczny akcent.

Wszystkie zdarzenia otacza w filmie Poręby klimat i nastrój, który nieuniknie nie wciąga widza. Osłagają go twórcy poprzez surowy, górski krajobraz końca zimy, pędzący w straszliwym pustkowiu pociąg, wymarłe stacje i tragiczne losy ludzkie. Niemalże zadanie spełnia tu dobra gra aktorów, zwłaszcza K. Opalińskiego w jego drugiej po „Człowieku na torze” kolejarskiej roli. Na uwagę zasługuje świetne ustalenie postaci żołnierza Zadzory (R. Pietruski).

Wydaje mi się jednak, że Poręba bojąc się by w jego filmie nie odeczytano li tylko sensacyjnej fabuły, by poruszony problem odniesiono również do pozafilmowej rzeczywistości, starał się tę ponadczasowość problemu podkreślać, nieświele często naiwnymi, a zupełnie niepotrzebnymi sposobami (np. wystylizował swego młodego bohatera na chłopaka lat sześćdziesiątych). Zupełnie nie do przyjęcia jest w filmie postać dziewczyny, zawiadowcy stacji w interpretacji Szmigielówny czy potwornie teatralny moment śmierci pomocnika maszynisty.

Pewne poknięcia reżyserskie twórcy, dla którego „Droga na Zachód” jest drugim (po „Lunatykach”) filmem fabularnym nie przesądza na szczęście o wartości filmu, który można chyba zaliczyć do ciekawych pozycji polskiej twórczości filmowej.

MIESZANKA
FILMOWA

odqTosy str.
3

Na Kilińskiego 210

Pod tym numerem, 100 metrów od ulicy znajduje się w Łodzi jedna z najważniejszych placówek naszej kineematografii — Wytwórnia Filmów Oświatowych. Wytwórnia, która może się pochwalić wyprodukowaniem w ciągu 12 lat swego istnienia przeszło 800 filmów krótkometrażowych. Rokrocznie oddawane jest do rozpowszechniania około 100 filmów, z czego połowę stanowią tzw. filmy popularno-naukowe (nie znaczący wcale, że muszą to być nudne, szkolarskie pily), resztę stanowią filmy przeznaczone dla użytku szkół jako pomoc naukowa. Pewna ilość filmów realizowana jest dla określonych środowisk pracowników i robotników naszej gospodarki. Są to tzw. instruktaże. Popularyzują one nowe osiągnięcia naszej myśli technicznej, zastosowania nowych maszyn, itd.

Wytwórnia ciągle się modernizuje. Cały teren obecnie zbroi się w różne urządzenia i instalacje. Zbudowano dość obszerną halę zdjęciową o powierzchni 315 m² dającą wytwórni nowe możliwości produkcyjne, a między innymi możliwość realizacji tak

zwanych zdjęć kombinowanych. WFO posiada samodzielną bazę techniczną — oddział udźwiękowienia, laboratorium do obróbki taśmy czarno-białej (w najbliższym czasie planuje się zbudowanie laboratorium obróbki taśmy barwnej). Chlubą wytwórni jest rozbudowana pracownia biologiczna, której kierownikiem jest znany twórca filmów biologicznych reż. Karol Mareczak.

WFO zdobyła sobie uznanie nie tylko w kraju, o jej osiągnięciach świadczą liczne nagrody i wyróżnienia uzyskiwane corocznie przez filmy ze znakiem WFO. 38 filmów zdobyło nagrody na Międzynarodowych Festiwalach Filmowych. Dla porównania dodajmy, że Wytwórnia Łódzka wyprzedza pod tym względem warszawską Wytwórnię Filmów Dokumentalnych, której tylko 33 filmy zdobyły nagrody.

Filmoteka oświatowa tworzy dziś znaczny zbiór tytułów obejmujących swą tematyką rozliczne dziedziny nauki, kultury, gospodarki, przemysłu, wychowania. W ten sposób w zasięgu rozpowszechniania znajduje się spo-

ra liczba filmów umożliwiających popularyzację wiedzy w dowolnym przekroju zagadnień.

Wachlarz tematyczny wytwórni jest dość szeroki. Czy tej różnorodności tematów odpowiada różnorodność form artystycznych? Niestety, film oświatowy od lat cierpi na schematyzm formy uwidaczniający się m.in. w zbyt długich i natrętnych komentarzach, w braku ciekawych nowych rozwiązań dramaturgicznych. Wspomnieć jednak trzeba o dyskusji jaka trwa w gronie pracowników twórczych i programowych wytwórni na temat polepszenia poziomu artystycznego realizowanych filmów. Dyskusja ta szczególnie się ożywiła na skutek licznych wypowiedzi prasowych, które pojawiły się po pierwszym Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Nowo rozpoczęte filmy mogą świadczyć o tym, że owa „pospolite ruszenie” w WFO zaczyna dawać pozytywne wyniki. Warto więc zasygnalizować nowe pochylenie, które w niedługim czasie oddane zostaną do rozpowszechniania.

Wśród nich na uwagę szczególną zasługuje dokumentalny film o wystawie sztuki meksykańskiej, która eksponowana była w czerwcu i lipcu w Muzeum Narodowym w Warszawie. Film zrealizował reż. Jarosław Brzozowski. Ten sam reżyser jest twórcą filmu monograficznego o młodym Chopinie. Przy realizacji nad tym filmem współpracował on z takimi specjalistami w dziedzinie muzykologii, jak prof. Jan Hoffman, prof. Karol Stromenger, Jerzy Waldorff. Fragmenty utworów Chopina ma nagrać przybywający do kraju Witold Małcużyński. Na ekrany wejdzie także długo oczekiwany „Guliwer” zrealizowany przez reż. Janusza Stara wraz z filmowcami z berlińskiej „Defy”. Jest to pierwszy pełnometrażowy film popularno-naukowy w interesujący sposób wyjaśniający ta jemnicę mikro i makrokosmosu. Legendarną postać Guliwera odtwarza popularny łódzki aktor Zbigniew Jędrzejewski.

Rewelacyjne odkrycia archeologiczne w Wiślicy są te-



„Rzeźby Ignacego Kamińskiego” — w produkcji WFO

matem filmu realizowanego przez Aleksandrę Jaskólską, autorkę znanej „Sybilli Puławskiej”. Wspomnieć należy również o bardzo udanym filmie na temat filmu panoramycznego. Autorem jego jest

Mieczysław Vogt, a komentatorem niezrównany Kazimierz Rudzki. W przygotowaniu znajdują się filmy o Jeleniej Górze, o Przemysławie, o Janie Kasprzyczu. Wytwórnia nie ogranicza się tylko do pracy ze stałymi w niej zatrudnionymi reżyserami i operatorami. Umożliwia się również start młodym filmowcom. Przykładem tego mogą być dwa filmy o Islandii (w tym jeden kolorowy i panoramyczny) zrealizowany przez studenta Łódzkiej Szkoły Filmowej — Bulgara Wasyla Mirczewa i Islandczyka Thandura Thoroddsena. Warto przypomnieć, że pierwsze swe samodzielne „filmowe kroki” stawiali w WFO tacy znani nasi reżyserzy jak: Wojciech Has, Stanisław Lenartowicz, Ja-

nusz Nasfeter. Z Wytwórnią współpracują znani pisarze i publicyści: Marian Brandys, Kazimierz Rudzki, Jerzy Waldorff, Władysław Kopaliński. Rozwija się również współpraca z innymi wytwórniami filmów krótkometrażowych — z Wytwórniami w Bratysławie oraz w Sofii. Dzięki wymianom z Wytwórniami bulgarską zrealizowane zostały dwa filmy o Bułgarii i dwa o Polsce.

Wszystkie te osiągnięcia Wytwórni Filmów Oświatowych nie przyszły same. Złożyło się na nie owe dwa-nastacie lat pracy, która rozpoczęła się w 1949 roku, kiedy w wyniku reorganizacji ówczesnego Instytutu Filmowego, z jego pionu produkcyjnego powstała WFO.

„Syn wieku”

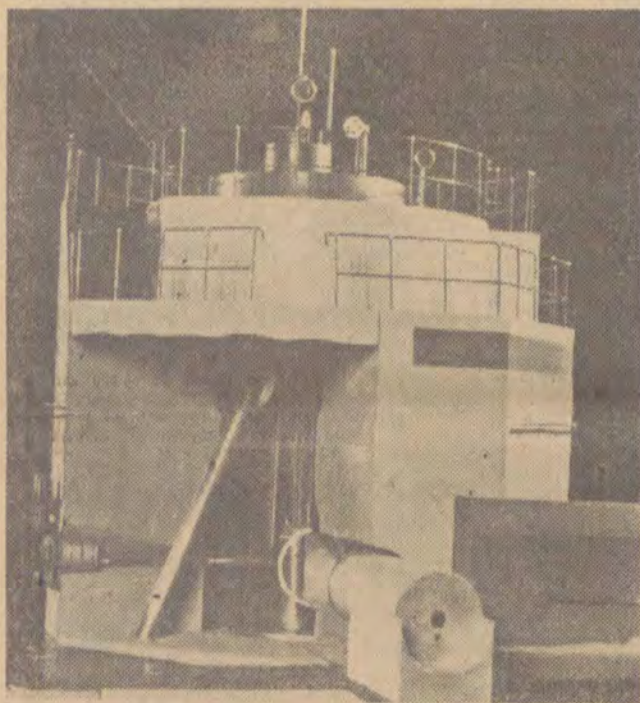
Film reż. Samsonowa pokazuje dzieje robotnika Jarmakowa, człowieka oddanego sprawie budowy socjalizmu, który mianowany zostaje dyrektorem budowy fabryki samochodów. Akcja filmu rozgrywa się w dwóch olaszczonych czasowych. W czasie podróży na wielki plac budowy w r. 1960 Jarmakow, 60 letni starzec pogrąża się we wspomnieniach. Historia jego życia jest pretekstem, pozwalającym reżyserowi ukazać przeobrażenia, jakie na przestrzeni ostatnich 50 lat dokonały się w Związku Radzieckim.

potrafili jednak ustrzec się od schematyzmu i wielu uproszczeń, zubożających niewątpliwie ciekawą problematykę filmu.

Uderza to zwłaszcza w konstrukcji sylwetki Jarmakowa. Staje on się bliski widzowi dopiero wtedy, gdy scenarzysta czyni zeń pełnego człowieka, przeplatając wątek główny z wątkiem osobistych przeżyć bohatera. O doskonałych niekiedy fragmentach filmu decyduje w niemalym stopniu dobra gra odtwórcy głównej roli — Lebediewa.

Autorzy scenariusza nie

E. F.



Nowoczesna „alchemia” reż. W. Zukowskiego

EWA SULIBORSKA

FILM PREMINGERA

Moda decyduje nie tylko o długości włosów i sukien. W równie mierze co wykreślenie damskich pantofelków podlega jej i sztuka. Nadaje jej ton i charakter. Decyduje o gustach i smakach. Na przestrzeni ostatnich lat obserwowaliśmy kilka, a może kilkanaście modnych rewelacji także i w kineematografii. Taką rewelacją tematyczną były także przed kilkoma laty filmy z cyklu „sądowych”. Nakręcono ich kilkanaście. Niektóre oglądaliśmy i w Polsce, między innymi „12 gniewnych ludzi”.

Można by, choć z pewnym zastrzeżeniem zaliczyć do tego cyklu także i „Anatomie morderstwa”, która zrealizował Otto Preminger — twórca znanych dobrze w Polsce filmów „Czarna Carmel” i „Witaj snoutku” wytrawny rzemieślnik i świetny reżyser.

Pod znakomitymi potyczka

mi adwokata z prokuratorem, kryje się poważna problematyka filmu. Jest nią względność spraw, niemożność dostarczenia do istoty rzeczy. Jej złożoność, nieistnienie absolutnej prawdy, która pomogłaby w osądzeniu. Podporucznik odznaczony w walkach w Korei, zabił człowieka być może z pełną świadomością popełnianego czynu. Zrezygnował z prawa do dowodu. Jedną z przyczyn zbrodni jest zbrodnia zbrodniarza. Wyrok sądu być może nie jest więc sprawiedliwy. Otto Preminger sugeruje jednak, że wyroki sądów nigdy nie są i nie mogą być sprawiedliwe.

Preminger niczego w tym filmie nie dopowiada do końca. „W gruncie rzeczy nie wiemy, jaką rolę spełniła żona mordercy i jak, tak naprawdę, historia zbrodni wyglądała. Wiedza ta zresztą nie jest nam zupełnie potrzebna. Wystarczyła zresztą wysunięte sugestie. Otto Preminger nie traktuje sprawy, której relacje przedstawia, serio. Nie jest to bowiem film, którego zamierzeniem byłoby pokazanie niemożliwości wydania wyroku. Nie jest

to też film, którego zamierzeniem było podjęcie poważnego problemu sprawiedliwości, roli przysięgłych itd. Preminger nie chce ani rozstrząsać sumień, ani o niczym przekonywać. Jego adwokat lubi łowić ryby i słuchać jazzu. Jest sympatyczny i pełen uroku. Świetnie broni swego klienta, choć zdaje sobie sprawę z jego małej wartości. Bohaterowie filmu ci sympatyczni i ci niesympatyczni traktowani są z połączoną ironią. Świat, w jakim żyją jest ani zły, ani dobry, wszystko w nim może być równie poważne co zabawne.

James Stewart dostał za rolę adwokata nagrodę na festiwalu w Wenecji. I jest to na pewno wielka kreacja aktorska. Od pierwszego ujęcia Stewart jest gotową postacią. Postacią, której rysunek psychologiczny dopełnia tylko kilka drobnych szczegółów. Dotyczą one sposobu bycia ulubionych zajęć i zainteresowań adwokata. Środki aktorskie, jakimi się posługuje są bardzo proste i oszczędne. I może dlatego jego adwokat jest tak jakoś „pełny” i bardzo ludzki.

„Anatomie morderstwa” poza świetnym aktorstwem wytrawną reżyserią i wyjątkowo udanym dubbingiem prezentuje także 60-letniego Duke Ellingtona, jako autora bardzo ciekawej, jazzowej ilustracji muzycznej. Jest to jeden z tych doskonałych filmów, które ogląda się z prawdziwą satysfakcją.



Ewa Krzyżewska, Adam Hanuszkiewicz i Tadeusz Pluciński w jednej ze scen filmu

ZUZANNA I CHŁOPCY

Gdyby tytuł brzmiał „Zuzanna i jej chłopcy” — nie byłoby w tym żadnej przesady. Przed kamerą króluje niepodzielnie modna gwiazdka filmowa otoczona rojem gorących wielbicieli.

Początkowo względami uroczej Zuzanny cieszy się bardzo „męski” grotolaz, Malecki, ale później serce aktorki zdobywa jego kolega Brenert, który dzięki szlachetności charakteru odnosi zwycięstwo nad swym rywalem. Takie rozwiązanie akcji traci już dramatem i to dramatem czysto psychologicznym, chociaż ekspozycja nosi raczej charakter komedii.

Rzecz dzieje się na tle wspaniałej, tatrzańskiej przyrody na zmianę — to w jazz-campingu, to znowu w tatrzańskich jaskiniach.

Całość przesycona świetnymi melodiami jazzowymi, które skomponował Andrzej Trzaskowski, a wykonują nasi najlepsi muzycy.

A teraz trochę ciekawostek „warszawskich”. Rola tytułową odtwarza Ewa Krzyżewska, znana już z „Popiołu i diamentu”, „Wojny” (film produkcji jugosłowiańskiej) oraz „Zaduszek” Konwickiego.

Jej partnerzy to aktor Teatru Współczesnego z Warszawy — Pluciński (Malecki) oraz z Teatru Powszechnego (również Warszawa) — Hanuszkiewicz (Brenert) w scenach z jazz-campingu „kreci” ekipa pięknych krakowianek na czele z „najmilszą studentką Juwenalii 1960 r.” — Hanką Wacholowską.

Ujęcia z zalanej wodą jaskini realizowane są w łódzkim atelier.

Trudno przewidzieć końcowy efekt — ale już dziś można mieć pewność, że film, który zostanie ukończony jeszcze w ciągu tego roku będzie bardzo atrakcyjny i „miły dla oka i ucha”.

Inne szczegóły metryki filmu to: ZRF „Syrena”. Reżyseria: Stanisław Możdżeński, Scenariusz: Janusz Chudziński, Zdjęcia: Antoni Wojtowicz, Kierownik produkcji: Mieczysław Wajnberger.

Tekst i zdjęcia: GERARD PUCIATO

„DARK GLORY“



Karol Obidniak

Teatr im. Jaracza otwiera nowy sezon teatralny polską prapremierą sztuki Karola Obidniaka, autora „Pokoju pełnego dymu”. Drukujemy poniżej fragment III aktu tej sztuki, zatytułowanej „Dark Glory” („Ciemna sława”).

Akcja jej rozgrywa się w Ameryce i na pokładzie małego stateczku na Pacyfiku. Ludzie, nie mogący znaleźć w społeczeństwie pomocy ani oparcia, korzystają z okazji by od tego społeczeństwa uciec, by w puczku bezpieczeństwa spędzić bodaj parę dni. Ucieczka przed rzeczywistością, strachem i paniką, przed wiekiem, który straszy ludzką bezrobociem, katastrofą, ostateczną zagładą, przy pomocy małego stateczku staje się możliwa.

Celem wyprawy jest Dark Glory, bezludna w tej chwili wyspa na Pacyfiku. Grupa ludzi biernych i zagubionych dopiero tutaj odnajduje ludzkie wartości.

Ale na wyspie, ku której płyną, ma się odbyć próbną wybuch bomby atomowej. Czy potrafią przezwyciężyć strach, jak zachowują się w chwili próby, czy będą walczyć o swoje ocalenie? W tej chwili jest to walka nie tylko o ich egzystencję, ale i o pewne wartości ogólnoludzkie, które poznali na małym stateczku na Pacyfiku w drodze na Dark Glory.

Jeszcze tylko siedem minut. Trzymaj się chłopie.

SMITH: Muszę ją widzieć. Jej obraz zabrać ze sobą. Nie możemy tam iść oddzielnie. Znowu będziemy się szukać Bóg wie, jak długo.

ZIELONY: Stój!

SMITH: Zielony, zawołaj jej!

ZIELONY: Smithy, trzymaj się. Bill, słyszysz coś?

BILL: Nie.

SMITH: Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

BILL: Do kogo się modlisz? To Bóg teraz się powinien modlić i prosić o łaskę, o życie dla ciebie.

SMITH: Co ty wygadujesz, Bill?

BILL: Nie przeszkadzajcie mi.

SMITH: Przecież ja...

BILL: Dość.

ZIELONY: Jaki on teraz straszny.

BILL: Okradli mnie z siły, z...

ZIELONY: Na niego nie mamy co liczyć.

SMITH: Zwirował. Biedny Bill. Teraz nawet mógłbym z powrotem wrócić i pracować w biurze.

BILL: I co dzień częstąkę poniżenia przynosiłbyś z biura do domu. A Kate? Stałaby się równa tobie, równą w poniżeniu.

SMITH: Nie, kazałbym jej odejść.

BILL: Więc kazałbyś jej umrzeć.

SMITH: Tak, ale by żyła, żyła.

BILL: A ty?

SMITH: Ja? Ja... Przecież i tak nigdy nie żyłem naprawdę.

ZIELONY: Żadnych sygnałów?

BILL: Żadnych.

ZIELONY: Wstrzymać wybuch, tu są ludzie.

SMITH: Ile minut?

BILL: Pięć.

SMITH: Kate, Kate, Kate!!!

ZIELONY: Spokojnie Smithy, jeszcze 4 minuty i 30 sekund.

SMITH: Nie trzymam. Nie dam rady.

ZIELONY: Wytrzymasz, Smithy.

SMITH: Zielony, pozwól, pozwól mi, tyle krzyku zebrało się we mnie. On mnie zadławił. Ja muszę, muszę krzyczeć.

ZIELONY: Nie wolno. Musisz. Jesteś moim przyjacielem, prawda?

SMITH: (krzyczy)

BAJKA z TEJ i NIE z TEJ ZIEMI

Odejści niegościnną przyrodą od świata cywilizacji, mieszkańcy niektórych rejonów gorzkiego wnętrza Nowej Gwinyi: do niedawna znali tylko jeden wywóz tej cywilizacji: samoloty. Uważali, że wielkie „coś” lecące szlakami orłów i papug oczywiście musi być ptakiem. Gdy w czasie ostatniej wojny światowej wzrosła ilość przelotów, zachodzili w głowę dlaczego te ptaki, budzące ich żywą sympatię, nagle tak licznie się rozmnożyły.

Papuasów trapił dylemat, jaka jest pierd przelatujących samolotów. Po długich dyskusjach stanęło, że podczas gdy „samice samolotów” wysiaduje jaja, ich troskliwi małżonkowie odbywają dalekie loty, by powrócić ze zdobyczą. — Ale czym karmia się te olbrzymy, skoro nigdy nie porywają ludzi, ani zwierząt domowych?

Takie są problemy ludzi kwiących jeszcze po same uszy w epokę kamiennej. Gdyby nasi bardzo dalecy przodkowie nie atakowali tysięcy zagadek, tłumacząc je w najbardziej niedorzeczny sposób — nie byłbyśmy dziś pokoleniem ery astronautyki i cybernetyki.

Smieszą nas „samolotowe” kłopoty Papuasów. Spokojnie zaś przyjmujemy taki opis środowiska morskiego: „Olbrzymie różnorodność poruszających się organizmów, a miedzydy pojawia się wśród nich także wielka ruchliwa budowa, sporządzona i kierowana przez istoty rozumne — okręgi podwodny”. Zdziwny się wszakże w jaki sposób ten opis posłużył amerykańskiemu astronomowi Zee Wassilko Sereckiemu za punkt wyjściowy jego zaskakującej hipotezy.

Przedmiotem usilnych badań w wielu krajach są fotografie różnych niezidentyfikowanych obiektów latających. Wiele z nich do złudzenia przypomina kształtem plankton — małe żyjątka wszystkich wód, zarówno morskich jak słodkowodnych.

W związku z tym Serecki zastanawia się, czy te tajemnicze twory nie stanowią „rodzaju olbrzymiej powietrznej galaretowatej ryby, posiadającej znikoma ilość materii zwierzęcej, a równocześnie maksimum energii”.

— Ciała ich — zauważa w dalszym ciągu Serecki — śluzę od ciepla, muszą być wielkie i nalaśowane elektrycznością. Obserwacje sugerują, że są pokryte świecąca srebrzysta luską i poruszają się za pomocą rotacji.

Obrazowo brzmi uwaga Sereckiego: — Podobnie jak ryby krąży wokół okrętów, te zagadkowe stworzy zbliżają się do samolotów i może z ciekawości podlatują całkiem blisko.

Znany amerykański astronom N. K. Jessup tak interpretuje ten pogląd:

„Sugestia instynktownego pociągu do samolotów oraz źródła energii elektrycznej jest bardzo wnikliwa. Uważam, że mogą tu odgrywać rolę dwa rodzaje uczuleni: jeden — bardzo wysokiego stopnia inteligencji, drugi zaś na poziomie zwierzęcym — rodzaj instynktownego wyczucia. Przypuszczam, że to drugie dotyczy „zwierząt przestrzeni”, pierwsza natomiast istot rozumnych, które zbudowały wielkie „przestrzenne formy”.

Serecki zauważa dalej, że te obiekty mogą posiadać — podobnie jak większość ryb — srebrzystą luskę, która odbija blask Słońca. Jakiś liczący gębinowe ryby — świecą i zmieniają się różnorodnością blasków, które mogą dowolnie rozjaśniać i przyciemniać. Są zwierzętami jasnymi przestworzy, nie dziwny się zatem, że blask wydzielany przez nie może być oślepiający.

W tym miejscu warto wtrącić pewną dygresję. Jak powszechnie wiadomo — badania fizycznych właściwości kosmicznego otoczenia naszej planety dokonane przez aparaturę pomiarową sztucznych ciał niebieskich, wykazały, że Ziemia oddaje aż do znacznych odległości strefy zagnieżdżenia elektrycznej nalaśowanych elementarnych cząstek materii o olbrzymich energiach. Grupa jej one jak gdyby w trzech pierścieniach. Pierwszy z nich zniża się do 400 km, maksimum nasilenia drugiego występuje na 4.500 km, ostatni zaś ogarnia szeroki pas przestrzeni od 12.000 do 60.000 km ponad Ziemią.

Problem pobudza do myślenia. Czyżby wykrycie tych stref cząstek nalaśkowanych zapewniało dodatkowe źródła energii do użytkowania przez egzotycznych pupilów Sereckiego? Chyba zbyt wcześnie na snucie takich rozważań w stosunku do istot, które wciąż jeszcze najbardziej swojsko czują się w legendzie.

Zycie występujące w obrębie nieskończonego Wszechświata z całą pewnością nie musi ograniczać się do form biologicznych. Korzysta ono pełną garścią z niezliczonej ilości fizyko-chemicznych kombinacji ponad stu pierwiastków, wszędzie występujących. W efekcie — na dalekich, niezbadanych globach rozwija się życie bujne w przepychu różnorodności kształtów, niewyobrażalnie odmienne od wszystkiego co znamy.

Miejmy to na względzie, słuchając hipotezy o zwierzętach przestrzeni żyjących się elektrycznością jonosferyczną. Organy ich są zycielnym uśmiechem nie wytłumaczone jak urocza bajka, ale jako coś, co może posiadać przyrodniczy sens — jeśli nawet nie w obrębie naszej Ziemi, to gdzieś w bogatej przyrodzie Wszechświata, rozrzucone szafujące różnorodnością kształtów najmniej zbędnej swojej skarbnicy: misterium życia.

Przytoczę opinie, wyrażoną na ten temat przez znanego polskiego fizyka nuklearnego, mgr inż. Olgierda Wolcaka: „Być może, choć oczywiście nie mamy na to dowodu, na innych ciałach niebieskich rozwinęły się organizmy, czerpiące energię potrzebną do podtrzymywania swego istnienia z przemian elektrycznych, magnetycznych, czy nawet radioaktywnych”.

Jeśli nawet rozumowanie Sereckiego i licznych jego zwolenników jest analogiczne do nainwizji snów Papuasów — w obydwu tych dociekaniach tkwi zwyczajna, a porywająca wielkość myśli szukającej prawdy.

Ponadto, odwracając zagadnienie, jeśli hipoteza Sereckiego jest słuszna — nie mamy żadnej pewności, że zagadkowe mieszkańcy jonosfery nie popielniały analogicznego błądu jak wspomniani Papuasi z Nowej Gwinyi. Któż zareczy, że ocaleni naszą cywilizację w jej istnieniu propozycji? Dlaczego np. nie mogłyby samochodów mknących po szosach uważać za gospodarzy planety, a wolno snulące się tu i tam wśród pól małe wydłużone postacie — za mechanizmy wykonujące czynności, do jakich zostały sztucznie skonstruowane?

(Zielony zapytuje szeptem Billa)

ZIELONY: No i co?

BILL: Nadaję.

ZIELONY: Smithy, na stanowisko.

KARIN: Piłka może nam spaść do wody. Może opanować nasz przyjazd.

ZIELONY: Wszystko jedno.

KATE: Straciłam już ochotę. Wolę przyglądać się wyspie, jest całkiem blisko. Zdaje się, że wystarczy sięgnąć ręką, nigdy jej nie zobaczymy po raz drugi takiej samej, równie pięknej.

KARIN: Równie bliskiej.

ZIELONY: Czy wiesz ile straciłmy dni? Tylko dlatego, że nie chciałaś mi uwierzyć?

KARIN: Mówisz o stratach w takiej chwili. Zaczekaj, zo-

baczysz, nie będziesz żałował ani jednej sekundy na tej wyspie, przyrzekam ci wszystko — moje serce, nie wiem co mówię, głupstwo, teraz musisz mi wybaczyć, później będę złośliwa, apodyktyczna, nieznośna, wymagająca, zadowolona.

KATE: (patrzy na zegarek) Do widzenia, Karin (rzuciła się Smithowi w ramiona. To samo czyni Karin. Bill coraz szybciej nadaje, coraz głośniejszymi SOS. coraz później, aż do olbrzymiego forte).



Hydrant przy ul. Obywatelskiej

MOCNI LUDZIE Z TRÓJKĄTĄ

Dalszy ciąg
ze str. 1

jące. Biurko nie jest intymne, jak konfesjonal.

W 1950 roku Anna Krawczyk przyszła do urzędu, któremu należało opowiedzieć o sprawach, zamkniętych dotąd w czterech ścianach. Dlaczego zaraz po wojnie z meżem, tkaczem cenionym fachowcem, opuścili Łódź i w rok później wrócili.

Wprowadzili się wówczas do rodziców. Przywitani ich radośnie z gościnną na miesiąc, może dwa. Wtłoczyli się w dziewiętnaście metrów kwadratowych, co stanowiło powierzchnię jednej izby.

Rosły dzieci.

Gościła przeciwnie się.

Przyszło im godzić chrapanie z deklamowaniem wierszy, kuchenne brzęczenia z żmudnym podliczaniem cyferki. Pomocą miał służyć parawan Solidny, dający się rozmać ustawić, w szkarłatne róże, z filuternymi kordkami.

Po lewej stronie szkarłatnych róż dziadek przed nocną zmianą sypia, po prawej przeszkadzają sobie wnukowie, którzy właśnie wrócili ze szkoły. Kiedy matka przyjdzie ze sklepu, dziadek zmechony irytacją będzie chrapał, chłopcy wezmą się do lekcji, a babka zacznie wybierać się do roboty.

— Zatem, panie kierowniku — proszę uwzględnić moją sytuację. Tak już trzy lata, dłużej nie możemy.

Petenci nienawidzą wzruszenia ramionami.

Anna Krawczyk porzuciła pokorę, gdy zorientowała się, że mówi w próżnię. Upominała się za tą sprawiedliwość, na którą ma widok ze swojego okna. Właśnie urzędnik kwaterek, sąsiad z przeciwka, porzucił wygod-

ne mieszkanie — wynalazł sobie luksusowe.

— Więc czy dla wszystkich sytuacja jest tragiczna? — zakończyła pytaniem swój monolog Anna Krawczyk, sprzedawczyni w sklepie nabiałowym.

Odpowiedź otrzymała.

— My, pracujemy w kwatunku — mamy ładne mieszkania, wy pracujecie w sklepie — macie ładne jajka.

Trzecie spotkanie odbyło się w piekle. Z wąskiego korytarzyka wchodził się do kuchni i do pokoju. Kuchnię zajmuje rozwiedziona żona, z dwójkiem dzieci. Pokój pozostawił sobie rozwiedziony mąż. Kiedy nawinie mu się pod rękę któregoś z dzieci przepędza je.

„Poszło won, k... nasienie”.

Byłby żonie podbiła oczy zawsze, gdy wraca do domu pijany i sam. Musi jakoś powetować sobie nędzne zło-tówki alimentów, wołanie go na milicję, a w ogóle wyżyć się, zaszumić z fantazją.

„Teraz oberwiesz po śli-piach!”

Nie wpada w furję. Nie traci panowania nad sobą. Biję z wprawa.

„Obdukcja cię nie urządzi!”

Czasami godziny grozy zależą od szybkości posłuszenia się kluczem. Albo ona spostrzeże się w porę i przekreci klucz w zamku, albo on dopadnie ją na korytarzyku i zamknie drzwi od kuchni, gdzie są dzieci.

Nauczył się biec przedtem izolując dzieci. Dzieci wrzeszcza. Dzieci sprowadzają na kark sąsiadów, milicję.

Bije i perswaduje. „Zabieraj się stąd, bo zatłukę! Gaz ci kiedy puszcze!”

Dokąd ma się zabierać? I dlaczego ona? Czy to ona przepłatała pensję? A kto zaczął sprowadzać do domu dziwki? Kogo sąd obarczył winą? Czemu to ona ma być kopnięta na ulicę? Czy za to, że urabia sobie ręce przy wspólnych dziełach?

Odpowiedziała sobie na postawione pytania przecząco. Nie, nie ona. A jednak ona. Elżbieta S. rozpoczęła wymianę korespondencji z posagiem. Naklejała znaczki opłaty skarbowej na poda-

nia, które każde z osobna, opowiedziane w teatrze, mogłyby wywołać płacz.

Posagi nie mają lez.

Rok 1953. „Wydział Kwaterek” zawiadamia, że na skutek ciężkiej sytuacji mieszkaniowej na terenie tu-tejszej dzielnicy, w chwili obecnej prośba jej zostaje bez uwzględnienia.

Nadmienia się, że sprawa powyższa będzie załatwiona pozytywnie z chwilą poprawy sytuacji na odcinku lokalowym.”

W gazetach stale pisali, że sytuacja mieszkaniowa jest coraz lepsza.

A bydlak ciągle bił.

Synek zaczął się jękać. Z powodu córki Elżbiety S. wzywano często do szkoły.

„Dziewczynka jest nerwo-wa. Nie potrafi się skupić. Często bez powodu płacze. Zaniedbuje się. Nie odrabia lekcji. Czy może ma złe warunki domowe?”

Rok 1954. „Wydział Kwaterek” zawiadamia, że nie dysponuje lokalami na poprawę warunków mieszkaniowych. W chwili obecnej nie mamy możliwości uwzględnienia jej prośby. Sytuacja mieszkaniowa jest bardzo trudna, uzysk wolnej powierzchni minimalny, nie pokrywa najpilniejszych potrzeb dzielnicy.”

W gazetach pisali, że mieszkan jest coraz więcej. Tymczasem ona szła pokazać swoje rany i siniaki lekarzowi, a milicja zrobiła swoje: współlokatora, byłego me-za, zamknęła na dzień i noc w areszcie. Gdy odzyskał wolność prosto z baru wrócił do domu coś jej ślubow-

„Już ja wielmożną panią załatwię; bachory uschną, a ciebie franca stoczy!”

Rok 1957. Nadal bała się sprowadzić do swojej kuchni starającego się. Wciąż korespondowała z posagiem. Kolejna odpowiedź na jej prośbę zawierała uncję balsamu.

„Wydział Kwaterek” zawiadamia, że nazwisko obywatelki zostanie umiesz-czone w planie przydziałów lokali mieszkalnych.”

Kiedy? W jakim planie? Czy długo jeszcze? Na żad-ne z tych pytań nie odpowia-dało urzędowe pismo. Najwięcej wiedzieli ludzie z nocnych kolejek.

Ze trzeba płacić, żeby dostać. Albo wyczuć, gdzie uderzyć. Lub pyskować; cho-dzić po wszystkich i gardło-wać.

Samy potulnie robili swoje. Poutykani po kątach, lub wsparci o mur, już z wieczora rozpoczynali oczeki-wanie, przepłatane sennym gledeniem.

Dzień, który miał nastać, był szczególniejszym w ty-godniu: tego dnia przyjmował kierownik kwatunku. Wysłuchiwał osobiście. Roz-mawiało się z Kimś, kto mógł obiecać. Po wycie-wiadomo było może nie wszystko, ale za to prawie na pewno.

Elżbieta S. nie miała siły przychodzić tak wcześniej. Zwykle stawała w kolejce o drugiej w nocy. To wystar-czyło, aby dostać się do ga-binetu gdzieś koło obiadu. Wychodziła z przeświadcze-niem, że papierki załączone do jej podania są czytane, a nawet oglądane pod światło. Po dwóch miesiącach wracała na nocną zmianę. Przy-pomnieć się. Pokazać, że nie się nie zmieniło. Trafiła świetnie. Raz jednego była trzydziestą dziewczyną. Za nią urosł ogon dwuosobowy. Tego dnia kierownik przyjął czterdziestu petentów.

Towarzysz z komisji mies-

kanowej przy radzie zakła-dowej zakładów im. Dzier-żyńskiego ma czarny, gruby brulion z nazwiskami wete-ranów. Inaczej na pewno by się pogubił w faktach i ad-notacjach. Tyle tego. Przy sprawie Elżbiety S. jak przy pozostałych, informacje przy-pominają niedoskonałe szkol-ne ściągaczki. Najpierw na-stępują daty historyczne: kie-dy zaczęła się starać, w ilu metrach mieszka. Potem rzu-czowość ustępuje miejsca zwiezłości.

„Rozwiedziony mąż w tym samym lokalu. Częste awan-tury. Bójki. Dwoje dzieci”.

Towarzysz z rady zakła-dowej umie korzystać ze ściągaczek. Czyta w brulio-nie, jak w magicznej księ-dze.

„Mieszkanie uciążliwe, tem-peratura dochodzi do 50° C”.

Pośród weteranów, gruźlic, rozwiedzionych, są jeszcze historie, które mogły się zda-rzyć, więc się zdarzyły. Mieszkanie rodziny kroch-malarza P. ma wspólną ścia-nę z piekarnią. Przed wojną mistrz raz dziennie rozpalał piec i po wypieku miał faje-rant.

Od kilku lat piekarnię

którego w każdym miejscu można wykroić fragment i badać na nim, co typowe, powtarzalne, charakterystycz-ne. Na różnorodność wycina-nek nie można liczyć. Trój-kat, który wyznacza ulicę Wróblewskiego, przechodząca w Czerwoną, potem Piotrkowska do placu Niepodleg-łości i w linii prostej prze-dłużona przez Park Hiberna aż do torów kolei obwodowej i dalej idąc torami do miejsca, gdzie się spotyka z ulicą Wróblewskiego — ten trójkąt z ulicami Wery Kos-trzewy, Karpacką, Ciasną, Fabiańską, Wólczańską — można by przenieść w różne dzielnice Łodzi. Nie kłóciły by się wyglądem, ale uzu-pełniały.

Wnętrze trójkątnej wyci-nanki to trochę zieleni i ogrom nędzy utrwalonej w kamieniu.

„Ten dom znajduje się pod społeczną opieką zamieszka-łych w nim lokatorów”.

Jest to dom Anny Kraw-czyk. Litery na tablicy wy-leniały, jak sierść na sta-rym psie. Teraz są maka-bryczną groteską. Za swojej świeżości po prostu kłamały. Nigdy i nikt społecznie się



Ul. Wróblewskiego.

przejęło państwo. Wykorzy-stuje ją całą dobę, w piątek i świętek. Piec nigdy nie przestaje buchać żarem. Za ścianą, w mieszkaniu kroch-malarza P., od tej nieustan-nej gorączki pękają meble, ludzie omal nie dostają kręć-ka.

Towarzysz z rady zakła-dowej najlepiej wie, jak mają w mieszkaniach robot-nicy. W tych, w których jest za gorąco i tych, w których jest za zimno: za ciasno, lub za obrzydliwie.

„Nie możemy się rozczu-lać!”

Ale zawołanie: „Nie może-my się rozczulać” jest pro-gramem minimum. To mało. Musimy stępieć. Jak inaczej można by było sobie wy-obrazić pracę towarzysza z rady zakładowej, a już szcze-gólnie urzędników kwatunku. Oni powinni umieć wy-brać ze stu podań dwa Stę-pieć — to też mało. Jeszcze nie wolno im zachować wy-obrazni. Za zdaniem: „W mieszkaniu stale panuje tem-peratura do 50° C” tylko mięczakowi wolno wybora-zać sobie żar od hutniczego paleniska, pot, obłądną nie-możność ucieczki.

Trzeba się oduczać, lub przyzwyczajać, lub zakładać końskie okulary. Albo być poetą. Pięknoduchem, którego musiał nastrój. Wówczas można zadeklarować miłość dla mdlejszaryzmy łódzkiej ulic, kurzu, zaduchu i śle-pych okien.

Skoro nie jest się poetą, ani urzędnikiem kwatunku, ani nie zakłada się końskich okularów — ulicę, domy, lu-dzie muszą wydać się taki-mi, jakimi są.

Łódź jest tym miastem, z

nie opiekował rudera, której okna nie przegłądają się w słońcu, z rynsztokiem po środku podwórza, spływają-cym błękitnymi popłuczyna-mi z balii. Codziennie pranie. Codziennie bieganie do kłozetu za oficyną. Codzien-nie skondesowany zapach kapuśniaku, mydliniwygód-ki. W Trójkacie, na Browar-nych, Żywieckich i Włosen-nych, wylega się gruźlica i dzieci rosną z krzywicą.

Ponuro jest tu przez sześć dni, siódmy jest dniem weso-łego miasteczka. Zawsze stoi tu gdzieś karuzela.

Elżbieta S. mieszka na Ce-ramicznej. Idiotycznie po-skreśniana uliczka. Czasami rury prowadzące od żelaz-nych piecyków do komina, układają się w takie zawija-sy. Już za pierwszym zakre-tem rozpościera się autentycz-ne zadupie. Domki i ogródki. Leniwe kury. Suszące się na płotach majtki. Łączka z lo-pianem. Placyk z pompą.

Tam Elżbieta S. spotyka się z sąsiadkami. Studnia za-opatrzuje w wodę i najśwież-sze informacje. Małomias-teczkość. Rola studni jest podwójna: raz występuje ja-ko źródło, raz spełnia funkcję publicznej pracy. Beczkowóz, rozwijający tutaj wodę przez ubiegłe cztery lata, był może bardziej romantyczny, ale kłopotliwy. Objężdżał uliczkę raz dziennie. Ci z popołud-niowej zmiany kleli, gdy jeź-dził rano — i odwrotnie. Ci,





Mieszkańcy tych „komórek” przeniosą się niedługo do nowych bloków.

którzy siedzieli rano w domu, nie mogli ruszyć się dotąd, aż wykupili swój zapas, po trzy grosze od wiadra.

Pompa służy kilkudziesięciu rodzinom. Elżbieta S. codziennie taszczy do mieszkania swoją porcję: cztery wiadra wody. Wzorem innych oszczędza na myciu i praniu.

Szkoda sobie zrywać ręce przy wiadrach.

Sto metrów stąd leży przeciwprostokątna wyciętego trójkąta — ulica Pabianicka. Południowa arteria wylotowa Łodzi. Tutaj wielkomiejski ruch, tam kury i pompa. Łatwo zauważalne paradoksy. Aż żenujące.

Dom ulica Pabianicka 30. Obelga rzucona higienie i architekturze. Wytarty, ale czysty napis na okiennicy: „Skup wełny owczej”. To nieprawda. Żadnego skupu nie ma. Prawdziwe jest tylko mieszkanie Anny Krawczyk, sprzedawczyni w sklepie nabiałowym. Brudna — tym brudem, którego nie ukryje żadna farba, landara, podzielona parawanem w różę. Prawda jest również podanie, złożone przed trzema laty do władz.

„Zwracam się z gorącą prośbą w sprawie otrzymania własnego mieszkania. Prośbę mam motywując tym, że dokładam wszelkich starań od 1950 r. do dziś bez skutku. Ile razy byłam na liście w kolejności i dziś jestem w tej kolejności. Tylko mieszkania nie mam.

Warunki mamy okropne. Posiadamy jedną izbę 19 m. Mieszka nas sześć osób: matka, ojciec, ja z mężem i dwójka dzieci w wieku szkolnym. Pracuję 7 lat w MHD teściu w zakładach im. Dzierżyńskiego — jako tkacz jest przodownikiem pracy, odznaczony został medalem 10-lecia. Obecnie został sparaliżowany. Mąż mój jest inwalidą pracy od 1951 r. nigdzie nie pracuje, chory na płuca i serce, zaliczony do II grupy. W mieszkaniu ciasnota, męczą się chorzy i my zdrowi przy nich, a także dzieci nie mają gdzie porządnie się wyspać i gdzie odrobić lekcji. Więc zwracam się z prośbą jako do matki naszej partii i matki naszego miasta o zbadanie moich warunków i przyśpieszenie mi z pomocą”.

Antoni Krawczyk, sparaliżowany teściu Anny, ucieka z mieszkania na rybki. Niedawno miał z domu do zakładów Dzierżyńskiego, w których swoje odegrał. Zaczął tam jeszcze za Geyera, stał jako tkacz. Łącznie czterdziestu sześć lat. Jeszcze bliżej ma do rybek, do dawnej Sielanki. Wszystko, co wypełnia życie szeregowca w cywilu, mogło zdarzyć się tutaj, w trójkącie z wycinanki.

Zył — był.

Antoni Krawczyk urodził się na Chocimskiej. Ożenił na Ciasnej. Zamieszkał na Pabianickiej, u Niemca — kamienicznika. Emeryturę wystawiał w tkalni Dzierży-

skiego, na Piotrkowskiej. Rybki łowi w zielonym centrum Trójkąta. Kiedyś liny, karpie i szczupaki — trafiły na wędkę. Teraz stawy były Sielanki stały się wspomnieniem, zaznaczonym trzema bajorkami, a rybacy zanurzający w nich kije ofiarą przyzwyczajenia.

Dni ich są policzone.

Wspomnienia nie trwają jednak, odmieniają swe kształty.

Antoni Krawczyk ma kawal łódzkiej starej gazety, nad którą nie raz wygrał pięścią. Było w niej ogłoszone, co można otrzymać na kartki żywnościowe za miesiąc czerwiec. Zatem kategoria I pracujących na odcinek nr 9 mogła się spodziewać 0,25 litra octu, w cenie 5 zł za litr, kategoria II pracujących 0,10 litra. Obie kategorie na odcinek nr 10, mogły pobrać po 2 pudełka zapalek, w cenie 10 gr pudełko. Komendant miasta mjr Sarkisow przypominał, że chodzenie po godzinie policyjnej jest dozwolone tylko za nonymi przepustkami. Dalej dużymi literami zapowiadał, że „Chaos w gospodarce mieszkaniowej ma być wreszcie usunięty”.

Antoni Krawczyk związał z tą wypowiedzią swoje nadzieje i projekty. Związując ani przypuszczał, że czyni to na długie lata. Lata te, lata starań o przyzwoity dach nad głową, potwierdzały jego mniemanie o trwającym chaosie. Obiecanki i odmowy, załączniki i komisje, gazetową propagandę usprawiedliwiania, przyjmował wściekłą sentencją.

„Jedni idą na nowe mieszkania, drudzy na złom. Mnie zaliczyli do szmelcu”.

Tak sądzić było mu najwygodniej.

Po stronie tych, którzy oddają mieszkania i tych, co określają ile można zbudować domów, przyjęło się milczenie. Nie mówić i nie pisać, nie publikować — bo od tego mieszkań nie przybędzie. Nie litować się, bo to nikomu nie pomoże. Nie wywlekać czarnych kolorów sytuacji, gdyż to nikomu nie ulży. Pozostanie bez wpływu. A po co rozdrażniać?

„Nie będziemy się rozczulać”.

Więc tam, pod dachami ponurych domów trójkąta z wycinanki, rozgrywa się męczarnia ciasnoty, dramaty wspólnych kuchni, rozwijają się gruźlice i grzyb ssie ścianę.

Za czternaście dni, w Trójkacie będzie gotowy blok numer 25, przy ulicy Rogozińskiego.

Częściej niż przedtem chodzą teraz zaglądać mu w okna Krawczykowie. Pan Antoni, w drodze na rybki, zerkając, czy przez noc budynek nie zniknie. Wracając ze sklepu pani Anna nakłada drogi, aby choć raz spojrzeć.

W tym budynku ich są trzy pokoje.

Lokatorką bloku 25 będzie Elżbieta S. Za czternaście dni

porzuci swoją komórkę. Również wprowadzi się tutaj poniewierana przez życie, niewielka, mizerna kobietka ze swoimi córami. Sąsiadami przez ścianę będzie rodzina, której państwowa piekarnia zrobiła z poprzedniego mieszkania piekło.

Nie jest to bynajmniej happy end mieszkaniowych historii, dziejących się w Trójkacie z wycinanki. Trójkąt zewsząd otacza dzielnica nazwana Łódź Górna, a jej urząd kwaterunkowy zgromadził 11 tysięcy podań o lepsze, albo wygodniejsze, lub po prostu ludzkie mieszkania. 400 petycji trzeba w ogóle wyłaczyć z tego rachunku. Złożyła na nich podpisy sama rozpacz. 400 rodzin egzystuje, mając często po sześć metrów powierzchni dla ośmiu osób — a przeciętnie od półtora do dwóch metrów kwadratowych na człowieka.

Daleko jest jeszcze do happy endu. Szczęśliwy koniec nie zbliża się jeszcze nawet do obietnicy.

Jest mgłą.

Nie zmienia to jednak faktu, że za czternaście dni, w bloku 25, zaczyna się krzątać nowi lokatorzy. Ostrożnie wnoszą szafy, żeby nie porysować, wbijają gwoździe do świeżych ścian, zagospodarowują kuchnie i wieszac łustra w łazienkach. Znajdą się tacy, dla których zamiana mieszkania jest zbyt wielkim przeskokiem. Obyczajem kamieniczki z obórką i ogródkiem, będą starali się zaprowadzić gołębie na strychu, kury na balkonie, lub króliki w wannie. Zabraли ze sobą trochę gospodarskich przyrządów i nie miejskiego smrodku. Będą to ci nieliczni, wyprowadzeni z łódzkich uliczek, przy których pasły się kozy i uprawiano grządki. Gdzie się zdaje, że jest tam dobrze i zielono.

W Trójkacie mieszkało do niedawna prawie dwadzieścia tysięcy ludzi. W ciągu ubiegłych dwu lat i przyszłych uliczek, przy których pasły się kozy i uprawiano grządki. Gdzie się zdaje, że jest tam dobrze i zielono.

I to jest dopiero pełny obraz Trójkąta, który można powielić. Uznać za typowy i charakterystyczny dla Łodzi. Powiedzieć, że ten Trójkąt można z powodzeniem przenieść w każdą dzielnicę miasta. Z tysiącami podań krzyczących o mieszkanie i tysiącami izb pod nowymi dachami, z projektami na wspólną wielkomiejskość.

Tymczasem do bloku 25, przy ulicy Rogozińskiego, za czternaście dni, wprowadzają się nowi lokatorzy. Ze Starej Łodzi.

ALEKSANDER ROWIŃSKI

Zdjęcia: ANDRZEJ RZEPA



ZBIGNIEW NIENACKI

Fot. W. Rozmysłowicz.

HALINA SKROBISZEWSKA

SYBIR POLAKÓW - inaczej

Rzecz zaczyna się od przypadku, jak zwykle w książkach Nienackiego, a często w życiu. Niepozorna kartka z jakiejś rosyjskiej książki znaleziona przez autora na podłodze zawierała informację, która spowodowała całą lawinę przedziwnych wydarzeń i podróży niemal na krańce świata, nad syberyjską rzekę Amur. Bo aż tam pojechał autor szukając śladów tajemniczego Niofora Czernichowskiego — Polaka, bohatera, czy awanturnika — ktoś wie? W każdym razie — budowniczego Albazina, nadamurskiej twierdzy, której obrońcy w 1684 r. otrzymali list od cesarza chińskiego z żądaniem poddania się pisany m. jn. po polsku.

Wątkowi historycznemu sekunduje awantura niemal współczesna, także związana z Albazinem. Ponura i krwawa, znalazła finał w spokojnej polskiej leśniczówce. Trójka awanturników, syberyjskie złoto, okrutne pozostawienie rannego towarzysza na niemal pewną śmierć, zemsta i część skarbu ukryta w murach albazińskiej twierdzy. Tropi tej sprawy wiodą do Zeltugińskiej Republiki, założonej w 1883 r. przez poszukiwaczy złota. Mało wiedzą o niej nawet ci, którzy pasjonują się opowieściami o łowcach złota na dzikim Zachodzie. Mało kto pamięta, że daleki Wschód był widowiskiem niemiernych dramatycznych wydarzeń. Wątek kryminalny sprzed pół wieku udało się autorowi dzięki wielu sprzyjającym przypadkom rozwiązać. Natomiast sprawa Niofora Czernichowskiego okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Relacje historyków skąpe, niekiedy sprzeczne, konfrontował Nienacki z ówczesnymi dziejami nadamurskiego kraju. Udało mu się ustalić wiele, choć bez pretensji do wyczerpania tematu. Wydaje się niewątpliwie, że Czernichowski, budowniczy małego państewka nad Amurem, był jednym z pierwszych Polaków na Syberii i „jednym z wielkich odkrywców syberyjskiej ziemi”.

Wybór formy literackiej — na wpół pamiętnikarskiej relacji z poszukiwań i podróży — był zapewne trafny. Czytelnik bardziej angażuje, wciąga in medias res, pozwala śledzić poszczególne etapy, brać w nich udział niemal tak, jak w powieściach kryminalnych. Nadto, młodych zwłaszcza czytelników — przynęca intymną formą zwierzeń i ukazaniem „od kuchni” warsztatu pisarskiego. Tym więcej, że Nienacki posiada niewątpliwie talent nawiązywania bezpośredniego kontaktu z

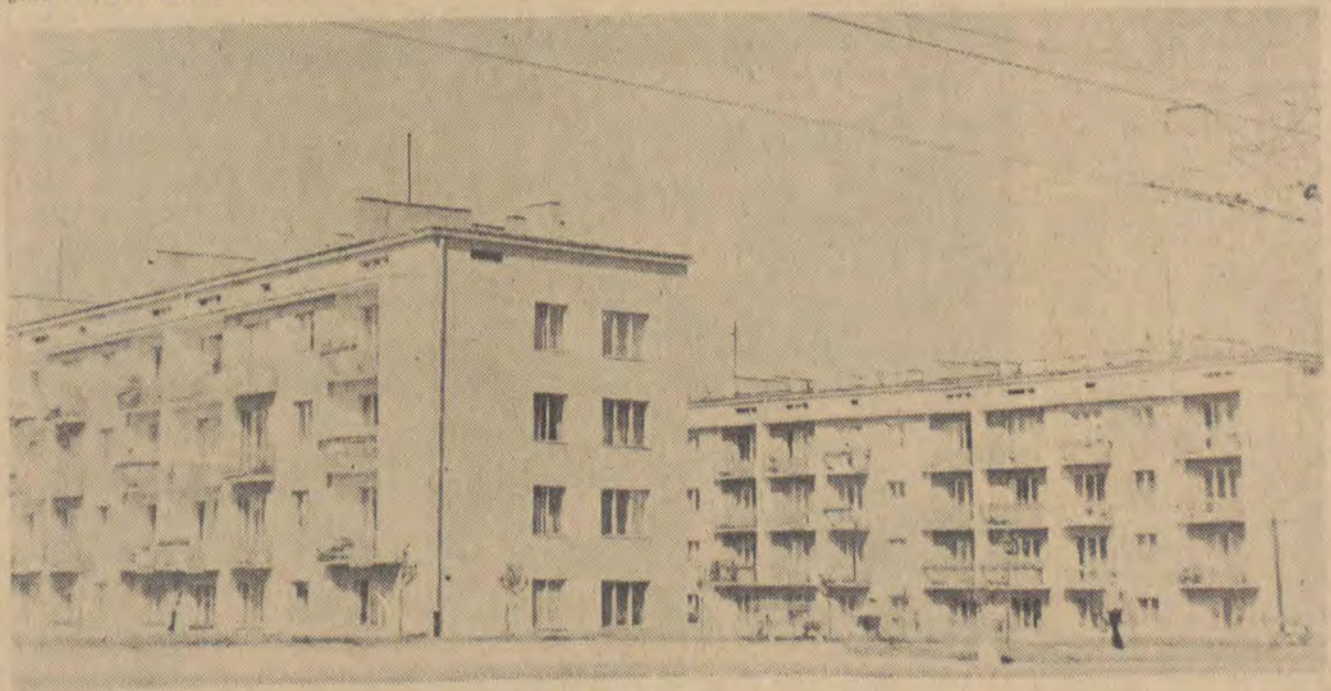
czytelnikiem: talent urodzonego gawędziarza, który umie zasugerować słuchaczom, że mówi tylko prawdę — zawsze prawdę, choćby łął co drugie słowo. A czytelnik obecnie nader często szuka w literaturze autentyzmu. Stąd tak wielkie mają powodzenie reportaże i różnego rodzaju pamiętniki, wspomnienia i relacje, które ukazują nie tylko prawdziwe fakty, ale i ludzką, zwyczajną, niemal nie osłoniętą fikcją literacką twarz autora. Być może w okresie literatury otomowanej emocjonalnie i powściągliwej, pamiętniki i pamiętnikarskie relacje pociągają i tym, że w nich wolno jeszcze, pozwolić sobie na prościutkie mówienie o banalnych prawdach ludzkiego losu, na bezpośrednią wypowiedź liryczną. I z tych prerogatyw gatunku Nienacki obszernie korzysta dzieląc się z czytelnikiem i refleksjami, i momentami lirycznego wzruszenia.

Pamiętnikarska relacja z poszukiwań i podróży ma jeszcze i tę ogromną zaletę dla piszącego, że pozwala na ogromną swobodę operowania materiałem. Na dość swobodny wybór i kompozycję. To też, pozornie daleka historyczność, sprawa Albazina (obecnie małej wioski) i siedemnastowieczne dzieje Czernichowskiego obrastają materiałem, obrastają dygresjami. Czego tu nie ma! Dymitr Samozwaniec i Maryna Mniszech, spotkania z pisarzami i poetami, wzruszenia w muzeum Dostojewskiego i wieczory na Psim Placu w Moskwie, lot TU-104 i noc w dzikich górach przy ognisku, po przymusowych lądowaniu. Spostrzeżenia socjologiczne i relacje podróżnika, refleksje Polaka i dociekania historyka. Specyficzny dziennik podróży i dziennik lektur. Bo Nienacki nie podaje czytelnikowi wiadomości „na wiarę”, ale je obszernie dokumentuje. Przelotowi nad Syberią i powrotnej podróży po ciągnie akompaniując lekturą książki Maksymowa „Sybir i katanga”, w której „roś się od polskich nazwisk”. W tych fragmentach wykazał autor dużą powściągliwość i umiejętność operowania przemil-

Dalszy ciąg

na str. 11

odgłosy 7



Nowe bloki na Nowym Rokicciu



Najstarsza w Macedonii cerkiew zakonna w górach Nerezji.

MARIAN PIECHAL

Z podróży po Jugosławii

MACEDONIA, KRAINA KONTRASTÓW

Najbardziej południową republiką Jugosławii jest Macedonia. Tworzy kształt wklęsłej miednicy, otoczonej zewsząd wysokimi górami, największymi w całej Jugosławii po Alpach Julijskich. Przez środek tej wklęsłości mniej więcej z północy na południe płynie macierzysta rzeka tej krainy, Wardar, z ujściem do Morza Egejskiego w pobliżu greckich Salonik. Największe jej dopływy z obu stron mają swe źródła w dookólnych szczytach pogranicznych, sam zaś Wardar wypływa spod wysokiego ponad 2000 metrów szczytu wewnątrz kraju — nazywa się on Dobra Woda, a śnieg rzadko na nim topnieje. Rzeczywiście, Wardar, to dobra woda, bo choć wypływa spod wiecznie śnieżnego szczytu, to w dolinach jego środkowego biegu w pobliżu granicy greckiej panują podzwrotnikowe upały, a w nich dojrzewa ryż i bawełna, arbuzy i sezam, figi i migdałowie, morwy i oliwki, grzeczki i arachidy, nie mówiąc o tytoniu, różach jadalnych, winoroślach i nie licząc kukurydzy i papryki. Oto pierwszy kontrast tej egzotycznej, najmniej znanej przez turystów krainy.

A oto drugi kontrast. Przy pięknej czerwcowej pogodzie wylecieliśmy wczesnym popołudniem do Skopja, stolicy Macedonii. Odległość w linii powietrznej wynosi niecałe 400 km. Ale reżba terenu tak jest pokretna i połać, że nazajutrz po południu musimy przejechać całą noc, aby dotrzeć do Skopja. W tym czasie samolot po dwóch godzinach zaczął się obniżać nad obszerną, rozbiłskaną od stołka doliną. Mijamy rzekę tuż nad jej powierzchnią. To właśnie Wardar. Ktoś z nas żartuje:

— O, widzę rybkę na dnie.

— A ja szczupaka, który ją połknie.

— A ja raka, który go chwytą w kleszcze.

— Przestańcie, bo...

Wszyscy naraz umilkli. Wzmógł się niepokój warkot motorów. Patrzymy po sobie z niepokojem. Samolot przeleciał tuż nad lotniskiem i... wleciał w górę. Zatrzymał się na krótko, a potem zaczął opadać nad lotnisko. Widać pas betonowy. Już, już ma go dotknąć, ale przy ogłuszającym war-

kocie obu silników tuż przed budynkiem portowym powtórnie ostrym podrywem wznosił się do góry. Mignęły nam zaniepokojone twarze zadartych ku nam głów niewiele zresztą osób na lotnisku. Aparat nasz dokonał jeszcze jednego, niezmiernie powolnego, jak nam się zdawało, okrążenia, ażeby po raz trzeci opaść nad lotnisko. Tym razem nie nad pas betonowy, ale nad zieloną płaszczyznę. Po chwili koła samolotu zaczęły muskać wysokie trawy lotniska, jeszcze jeden i drugi podskok po niegładkim, przeciętym gruncie i wreszcie osiadamy tuż przed kopią — zapyta czytelnik? Chwileczka, wszystko po kolei. Nasi literacy przyjaciele, rośnie Macedończyki, o ciemnych twarzach i migdałowych oczach mający coś z Greków i coś z Serbów, zapakowali nas do auta i powieźli w stronę miasta. Po drodze zaczęliśmy mijać kopieście furki ze zbożem ciągnięte przez woly. A więc tu już żniwa w pełnym rozpędzie, choć to dopiero połowa czerwca. Ale jeszcze bardziej zdziwiły nas liczne małe ostolki drapające dziecięcymi kopytkami po zapyłonych bocznych ścieżkach a obladowane nieświerszyskami wielkimi w stosunku do nich koskami, pełnymi jakichś zielono-kolorowych warzyw.

A te właśnie drobne ostolki to, jak się dowiedzieliśmy nieco później, najpowszechniejsze obok samolotów środki lokomocji w całej Macedonii. Samolot w komunikacji zewnętrznej, ostolki — wewnętrznej. I oto, proszę, ten drugi kontrast.

A teraz trzeci. Jest nim samo miasto, sama stolica Macedonii, która liczy około półtora miliona ludności, a jej stolica, która nazywa się Skopje, liczy 150 000 mieszkańców. A więc co dziesiąty Macedończyk mieszka w stolicy. Leży ona nad górnym Wardarem, który tu biegnie bezpośrednio ze stołków jeszcze wartko, ale już dość szeroko, z trzech stron otoczona wyniosłymi do ponad 1500 m górami, a z czwartej, na południowy wschód, otwarta na szeroką dolinę, którą z prądem Wardaru można dobrać do Grecji. Jakoż ta dolina właśnie biegnie główna trasa kolei żelaznej z Belgradu przez Skopje do Salonik i Aten. Skopje, to także jedyny punkt tranzytowy z Bułgarii

i Rumunii do Tirany w Albanii, a przez nią do Włoch i w ogóle na cały zachód Europy i do Afryki. Nie tędy przed południem jedziemy obejrzeć najstarszą w okolicznych górach cerkiew w Nerezji. Szacowny ten zabytek z licznymi freskami i polichromią liczy sobie prawie 800 lat (z roku 1164) i jest najokazalszym okazem architektury i sztuki bizantyjsko-cerkiewnej w całej Macedonii. Są jeszcze inne liczne, ale już nie tak wielkie.

Jadąc do tej Nerezji położonej wysoko na spadzistym stoku, musieliśmy wykłócić samochód zmiennie na wojskowego jeepa. A i ten z trudem pisał się po krętej, kamienistej i wyboistej, wypalonej od słońca serpentynie, wydeptanej przez owce, kozy i przede wszystkim obladowane małe magaracze (osiołki). Mielimy ich kilka w drodze na dół i na górę. Taki magaracz ginie nieledwie pod siedzącym z boku na nim człowiekiem, który częstą zwisającą tuż nad ziemią stopą pomaga mu w bardziej stromych miejscach i nagłych wirach tuż nad urwiskiem. Po drodze mineliśmy opustoszałą i rozsypaną się wieś turkacką z malutką dzmianą. Jeden jedyny mieszkaniec tej wsi, to stuletni chyba Turak, cały w strzępach janki, wypływających barwnych szmat, z nieodłącznym fezem na głowie i fajką o długim cybuchu w śliniących się wargach. Sie-

to stosunkowo człowiek, bo urodzony w roku 1921, jest twórcą pierwszej gramatyki nowoczesnego języka macedońskiego, a więc jakby jego prawodawcą. Tenże ciągle uśmiechnięty człowiek oprowadzając nas późną nocą po uśpionym głęboko mieście wskazywał nam co krok na jego kontrasty: mahometańskie dzamije obok prawosławnych cerkwi i monastyrów, średniowieczne domki wschodnio-tureckie obok nowoczesnych bloków zachodnio-europejskich. I w napisach na szyldach obok cyrylicy wtręty alfabetu łacinskiego.

Cały czar miasta i kraju wystąpił dopiero nazajutrz rano. Na ulicach wśród przechodniów co za różnorodność kontrastowych twarzy, typów i temperamentów. Łatwo odróżnić Cyganów i Turków, ale już trudniej miejscowych Albańczyków czyli po tutejszemu „Skiptetarów” od rdzennych Macedończyków, którzy przy całej swojej słowiańskości mają coś z Greków i jednocześnie z Włochów, tych o-

dział w południowym żarze pod skalą, z której ciekła niska strużka wody i pilnował uwiązanej obok na sznurku kozy. Patrzył na nas zarośniętymi oczami i coś mamrotał, pewnie o coś żebrał. Oto ostatni mohikanin straszliwej niegdyś potęgi, żalony symbol tureckiego panowania na tej ziemi.

Po obiedzie wyruszyliśmy do Ohrydu, najgłębszego (286 m) jeziora Macedonii, które częściowo należy do Albanii. Droga prowadzi początkowo coraz wyższym wawozem w górę Wardaru. W Tetowie u podnóża najwyższego masywu górskiego Macedonii (szczyt Titow jest tylko o 100 metrów niższy od Triglawu, najwyższego szczytu w Jugosławii) zwiedziliśmy największy i najnowocześniejszy kombinat włókienniczy. Taka Łódź macedońska, tylko 28 razy mniejsza, bo licząca zaledwie 25 tysięcy mieszkańców. Praca idzie pełną parą — wiadomo, uprawiają na miejscu bawełnę i hodują jedwabniki. Nawet jako lodzianinowi zaimponował mi ten zakład tak sprawnie przerabiający bawełnę, welnę i jedwab z pojedynczego włókna w wielobarwne bele różnorodnych tkanin. A organizacja pracy? Robotnicy stanowią spółdzielnię produkcyjną, która sama wyznacza ceny, ustala długość urlopów, inwestuje w gospodarkę miejską, planuje budowę bloków mieszkalnych itp.

Dalsza nasza trasa prowadzi u samego podnóża tego masywu skalnego, który nazywa się Szar Planina. Śnieg na szczytach błyszczy w słońcu, ale zbocza są przeważnie ogołcone z zieleni. Sprawy to przed wiekami kozy i Turcy, dwie największe plagi historyczne Macedonii. Jeszcze za owego sławnego Aleksandra, który zresztą tutaj nigdy nie mieszkał, tylko w dzisiejszej Grecji, nieopodal Salonik, Macedonia służyła za bujną zieleni i gęstych wiekowych lasów. Otóż ta zieleni wyskubana została do szczytu przez stada kóz, które przywędrowały tutaj z Grecji przedtem już przez nie ogołcone z zieleni, a te lasy ze względów strategicznych zostały wyrąbane do ostatniego korzenia przez Turków, którzy tutaj przywędrowali z Małej Azji. Lasy, jak wiadomo, były najpewniejszym schronem oddziałów partyzanckich także i w ostatniej wojnie. Na szczęście ocalało ich nieco na południu. W okolicach sztucznego jeziora Mawrovo ciemna i gęsta zieleni pokrywa już większość stoków górskich. Wjeżdżamy w wąski skalisty wawóz Czarnego Drinu. Około czterdziestu kilometrów ciągną się górskie mroczne labirynty z rwącą bistro wodą na kamienistym dnie. Potem nad samą granicą albańską ogarneła nas noc. Ale rozświećlały je całe nieledwie ulewne robaczki świętojańskich w powietrzu. W tym prawdziwie złotym deszczu dojechalśmy późną nocą do Ohrydu nad jeziorem tejże nazwy.

Jego wspaniała uroda i urok wyniosłych gór po stronie Albanii wystąpiły dopiero nazajutrz rano. Samo kilkutyśne miasteczko zbudowane tarasowo na zboczu wstępującego w jezioro skalistego wzgórza to swego rodzaju urbanistyczny unikat średniowiecznej tureckiej. A poza tym jedno naturalne muzeum folklorystyczno-etniczno-biologiczne. Nie mówiąc o ruinach warownego zamku na szczycie.

W drodze powrotnej, ale nie tej samej, bo objazdem od wschodu do Wardaru, omijamy masyw skalny Galiczyca, pod którym zlożają swoje koryta dwie ponornice, to znaczy rzeki podziemne z jeziora Prespy do wód Ohrydu. Jezioro Prespa, które widzimy z dala, to już granica z Grecją. Właśnie nadeszła stamtąd krótkotrwała burza. Dosłownie poculiśmy powiew Grecji na twarzach. Zamilkliśmy, zadumaliśmy się, ale nie na długo. Bo oto znów urwista przełęcz górska, za nią śnieżny Pelister, najwyższy szczyt w górach Baba na pograniczu Grecji i za chwilę jesteśmy w miasteczku Bitola, opiewanym w licznych pieśniach macedońskich. Jest to bowiem południowa stolica słynnej płaskiej wyżyny Pelagonii w dolinie Czarnej Rzeki. Potem przez Prilep znów wjeżdżamy w kręte zalesione pustacie górskie, gdzie trafiają się podobno niedźwiedzie, aby późnym wieczorem znaleźć się w pięknym miasteczku Titow-Veles, rozłożonym na zboczach górskich po obu stronach Wardaru. Chętnie wysiedliśmy z samochodu i zmieszaliśmy się ze spacerującym tutaj po głównej ulicy tłumem. Jest taki cowieczorny zwyczaj macedoński — wszyscy się wtedy poznają. Poznaliśmy także i my przede wszystkim urodę młodych Macedonek. Złaziliśmy w tłumie czuliśmy się bezpiecznie od licznych jaszczurek i węży wszelakiego rodzaju, które spotykaliśmy co krok zarówno w samym Ohrydzie jak i w cienistych wawozach górskich.

Dojechalśmy do Skopja po północy. Kiedy nas ujrzało w hotelu, zaczęło się dziwnie uśmiechać. Spojrzeliśmy w lustro — usta i nosy mieliśmy czerwone od rdzy. To skutki picia wody żelazistej na leżącym wprost ze źródła wytryskującego spod skały przy drodze w pustaci górskiej za Prilepem. Mielimy także przynależną do zabrakło nam benzyny. Godzinę czekaliśmy na pomoc w cisy macedońskiej nocy, rozdzwonionej prawdziwym koncertem świerszczy i chóralnymi rechotami żab znad Wardaru. Właśnie nowik księżycowy chował się na zachodzie, kiedyśmy dojeżdżali do rozjarzonej światłami starożytnej, a zarazem i nowoczesnej, a więc tak jednak kontrastowej, choć harmonijnej w sobie, stolicy współczesnej Macedonii.



Lewobrzeżne centrum stolicy Macedonii — Skopje

ZBIGNIEW NIEACKI

Worek JUDASZÓW

Rok 1946. Na pociąg, w którym jedzie Albert, dokonała napadu banda „Rokity”, zabito kilku ludzi i żołnierza czerwonarmistę. Albert sportręgl, że młoda kobieta jadąca z nim w przedziale, była w zmo-

Młoda kobieta podniosła się jak by rozgniewana tą dyskusją. Pozostawiła na ławce rekawiczki i opuściła przedział.

Po niedługiej chwili pociąg zaczął hamować.

Albert schwycił z półek walizki i rzucił się na korytarz.

„Oszukała. Znowu oszukała. Próbuje wymknąć się z pociągu, a ja dalem zwieść się jej rekawiczkom”.

I obciążony walizkami z trudnością parł korytarzem, który wypełniał się ludźmi z przedziałów.

Stacja była niewielka, sklecone z desek barak i dwa pokryte żwirem perony. Wystrząsało tu sporo osób i Albert długo i beznadziejnie kręcił się wśród nich szukając wzrokiem młodej damy w karaku-

lach.

Nie widział jej nigdzie. Może przeskoczyła na drugą stronę pociągu? Stał tam po ciemno i Albert jakoś nie mógł sobie wyobrazić, aby ta elegancka dama w cielistych pończoszczkach i de-

likatnych pantofelkach przebrnęła pod towarowymi wagonami lub potrafiła przeskoczyć przez bory i brudne łańcuchy. Młodo to zdecydował się wejść z powrotem na korytarz i wyjrzeć na drugą stronę.

Pociąg ruszył. „Wymknęła mi się, uciekla” — wzbierała w Albertcie złość. Tak łatwo dał się wywieść w pole. Nawet głosu jej nie zapamiętał, wymienili ze sobą zaledwie dwa słowa. Wydawało mu się, że doznał podwójnej klęski.

Wyminał go konduktor. Szedł od przedziału do przedziału i liczył wybite strzały — szły.

Co to właściwie było? Kto na nas napadł? Wzruszył ramionami. Podobne pytania przesładowały go podczas całej wędrówki wzdłuż wagonów.

Nie wie. Pewnie „Rokity”. W pociągowym wagonie wieszono milion złotych. Wiedzieli o tym, rozwalili granatami drzwi do pocztowego, zabili strażników. Rozliczyli się z kimś im podobnym. Pieniądze zabrali.

— Tu zabitych? — Chyba z pięciu. Ruskich i trochę naszych. Polskich — donarwił się szybko.

W przedziale na ławce wciąż leżały pozostawione rekawiczki. Albert przywitał je prawie z nienawiścią. Ksiądz kiwnął w jego stronę głową i podsunął mu pod nos oku-

panie, pierś ma jak labezdzica — wykrzyknął z dziwnym, naturalnym entuzjazmem.

„Poznał mnie, lajdaka!” — pojął Albert. Teraz pamiętał już nawet kryptonim portiera: „Lelek nocny”.

— To dziwna sprawa, panie — rozwałił się portier. — Ona przecież nigdy nie miała dziecka. A pierś rozbu-

chała się jej, choć, że tak powiem, pozostała dziewicza.

„Poznał mnie” — upewnił się Albert.

Zjawił się chłopczek w obszernym paletku, zakatarzony, rozkaszany. „Lelek” przerwał swój wywód.

— Oczywiście, chyba niepotrzebnie przestrzegam, że pensjonat jest, że tak powiem, trochę nielegalny...

Albert wzruszył ramionami i powlókł się za chłopcem. Czuł się zdemaskowany, nagi, bezbronny. Dreczył go głód, w oczach drażnił piasek niewyspania. Na wystawie sklepowej zauważył biały ser bulki, masło. Nie starczyło mu jednak silnej woli, żeby zatrzymać się, wsta-

pić i kupić. Chłopiec odebrał od niego walizki, miał teraz swobodne ręce. Zapalił papierosa. Szedł za chłopakiem chlapiąc po błocie, przygarbiony, z papierosem w ustach.

Przed drzwiami willi majorowej opanował znużenie. „A może gra nie jest skończona?”

Widok wynędzniałej twarzy Alberta wzbudził w majorowej współczucie. Słowa jej powitania wypadły ciepło, a nawet czule. To nie, że bu-

ciłki i nogawki spodni przybyłego pokrywała warstwa błota, kolnierzyk kosztu był brudny i wymięty, a na policzkach czernił się zarost. U-

kradkowe spojrzenia majorowej, jak głodne myszki zająrzyły w każdą faldkę jego stroju, zobaczyły dwie walizy skórzane i może nawet wartość portiera. Albert nie-

ledwie fizycznie odczuwał tę krzątaninę myszek w jego kieszeniach.

Widział, że mimo swych trzydziestu sześciu lat wygląda młodo. Był wysoki, postawny, a siwiejące gęste włosy chyba tylko dodawały mu uroku w oczach majorowej.

Pomagając Albertowi zdjąć płaszcz w przedpokoju, mówiła ze szczerą troską:

— Odbił pan chyba ciężką podróż. Trzy doby nie spałem. Jestem zmęczony, brudny, głodny, pani rozumie? — jak zły pies i wyszczerzył na nią zęby.

Potem delikatnie odsunął ją na bok i zniknął w łazience.

Gorąca woda wysysała z niego resztki sił. Staniając się na nogach wrócił do swego pokoju. Obiad czekał na stole, jadł łapczywie, pospiesznie. Przytomny z niewyspania. Ostatkiem świadomości zmusił się do przekręcenia klucza w zamku. Odbierając pistolet.

Obudził się o jedenastej w nocy. W willi majorowej trwała zupełna cisza. Zimną wodą zmył twarz i stwierdził, że usta ma opierzone, szorstkie, jak tarka. Ubrał się i po cichutku zszedł na dół do hallu. Palilo się tu światło, ale hall był pusty. Przemknął do korytarza, nałożył płaszcz. Odsunął zatrask przy drzwiach wejściowych i na czubkach palców wybiegł na dwór, starając się jak najszybciej zatrzaskać drzwi.

Pod najbliższą lampą uliczną przystanął i spojrzął na zegarek. Stwierdził, że pozostało mu dużo czasu i wolno ruszył w stronę miasta, borykając się z porzywym wiatrem. Przed dwunastą znalazł się na pryncypalnej ulicy. Teraz przyspieszył kroku. I chociaż po raz pierwszy był w tym miasteczku, dotąd kroczył tak pewnie, jakby znał to każdy kamień, każdy dom.

Przystanął na żelaznym moście spinającym brzeg niewielkiej rzeki. Siąpił deszcz, blask latarni zdawał się jeszcze bardziej pogłębiać ciemność nocy. Zwisające nad mostem druty telegraficzne

głę ramiona i wysokie pierś wyraźnie zarysowane w przeźrystej bluzce. Albertowi zdawało się, że duże ciało majorowej kryje się w przy-

krótkiej skórze, tak wszystko było w niej napięte, jędrne, twarde. „Gdybym ją ugryzł zachrzęściłaby pod zębami, jak jabłko” — pomyślał.

— Tymczasem będziemy w moim domu prawie samotni — rzekła kokieteryjnie przekrzywając głowę. — Od wczoraj zamieszkał u mnie pewien młody architekt. Po

wojnie nagle okazało się, że niektórzy ludzie w naszym miasteczku dysponują ogromnymi sumami pieniędzy. Do-

my chcą budować wille, potrzebny im zdolny architekt. No cóż, na początku okupacji mieliśmy getto. Żydzi w miasteczku byli zamożni, więc

ten i ów zerwał na ich nieszczęście.

Otrzymał na piętrze duży pokój z niewielkim tarasem od północy. Z tarasu widziało się źle utrzymany ogródek, z resztkami klombów zarosłych krzewa i. W ogrodzie było dużo brzoź, wiedział, że nie będzie tam spacerował; ich widok napinał go smut-

kiem.

Oplata za dobę korzystania z pokoju, hallu i łazienki okazywała się tak wysoka, że o mało nie parskał śmiechem. Zachował jednak twarz obojętną, jak by nie orientował się w wartości pieniędzy.

Zażądał, aby po kąpieli przyniesiono mu obiad do pokoju.

— Architekt będzie bardzo zmartwiony — rzekła. — Wciąż czekał na nowego pensjonariusza, żeby mieć towarzystwo przy posiłkach. Moja

buczały monotonnie. Gdzieś daleko w mieście dźwięczały na bruku żelazne obręcze wozów.

Czekał dziesięć minut. Nagłe w ulicy wybuchły silne światła. Duży, osobowy samochód przyhamował przed

mostem, smugi reflektorów poczęły starannie obmacywać kałuże wody i bruk. Albert stał nieruchomo tuż przy kra-

wędzi chodnika. Samochód zatrzymał się bezgłośnie. Uchyłono drzwiczki i po chwili Albert półleżał w ciepłym, mrocznym wnętrzu.

Nie dojeżdżając do skraju lasu samochód zawrócił w stronę miasta. Albert wyczuł w dłoniach dwie koperty. Jedną płaską, leciutką, drugą — wypchaną, ciężką.

— W jednej masz list polecający od pralata, a w drugiej dolary — zagadał do niego Mikołaj. — Dolarów nie jest za wiele. Ale więcej nie dostaniesz. Przelicz uważnie, żebyś potem nie miał do nikogo pretensji. I pokwitowanie podpisz.

— Dziadostwo — mruknął Albert. — Za tego oni nas mają, Mikołaju?

Roześmiał się.

Potem samochód stanął przy rowie, zapalił lampkę nad głowami i Albert bardzo sumiennie, co chwila kliniąc wskazujący palec, przeliczył dolarowe banknoty.

— No tak... westchnął podpisując na świstku papieru. Obiecał cieniutką kopertę z listem od pralata. Odczytał adres. Jęknął:

— Czy wiesz kto to są Kameduli?

— Nie wiem, nie cierpię klechów?

— Najsurowszy zakon. Obowiązuje ich milczenie. Oni słówka do końca życia, wy-

— Poznał mnie. — Boisz się?

— Nie udawaj durnia — powiedział gniewnie Albert.

— Nie pragnę żebyście mnie znaleźli jak Kurtmana. Pewnie, że się boję. Nieustannie się boję. Poznał mnie, rozumiesz? Wystarczy, że o mnie klepie ozorem chociażby w powiatowym UB.

— Przesadzasz — ziewnął Mikołaj.

— Chciałbyś być w mojej skórze? Przesadzam. Ale mimo to „Lelek” musi zniknąć. Jeszcze dziś w nocy. Roz-

poznał mnie o pierwszej po południu. Może nie zdażył się jeszcze wygadać? Zrobisz tak, żeby go nie było. To mój rozkaz, rozumiesz?

— No, jeśli rozkaz...

Milczeli dłuższą chwilę, Mikołaj położył dłoń na ramieniu Alberta. Ten odważ-

jennil mu się uśmiechem, którego Mikołaj nie mógł chyba dojrzeć. Lecz mimo ciemności Albertowi zdawało się, że

bardzo dokładnie widzi twarz Mikołaja. Te tak mu bliska, przyjazna twarz o dziewczęcej urodzie, z delikatnymi rumieńcami na policzkach. Był o piętnaście lat starszy od

Mikołaja, odnosił się do niego jak do młodszego brata, zdarzało mu się niekiedy być wobec niego surowym, wymagającym, zawsze jednak głos brało w ich wojennym stosunku owo uchwytne tylko dla nich uczucie przyjaźni.

— Boję się — rzekł nagle Albert.

— Śmierć nie jest straszną. To taka smuga śniega, czytalem gdzieś. Przekraczasz tę smugę i wchodzisz w zupełnie inną krainę. Już cię tam nie nie obchodzi co dzie-

ło się z tobą przedtem.

— Nie sądziłem, że uwierzysz.

— Nie wierzę. Ale tak jest łatwiej.

— Widziałem zabitego Kurtmana. Leżał w lesie, na wąziutkiej ścielce. Kiedy podszliśmy, ktoś krzyknął: „On jeszcze żyje”. Ale to tylko czarna zwarta masa mrówek tak się na nim ruszała. Wyjadł mu oczy, język, wargi...

Tego się boję, Mikołaju.

Samochód ruszył w stronę miasta. Jechał wolno, ciągle nie mieli dość rozmowy.

— Zgodnie z naszą umową, będę przejeżdżał przez most we wszystkich dni nieparzyste — mówił Mikołaj. — Jeśli dwukrotnie nie stawisz się na spotkanie, zacznę cię szukać. Gdzie?

— Mieszkam w willi majorowej Raczyńskiej. Potem przeniosę się do klasztoru w Dąbrowie. W międzyczasie zło-

żę wizytę doktorowi Ramuzowi. On powinien wiele wiedzieć o sprawie „kryształowego zwierciadła”. Napisał rozprawę naukową o Johnie Dee i Kelley’u.

d.c.n.



— Czy pamiętasz kto wykończył sztab „Perkuna”? — zapytał cicho Albert.

— „Lelek nocny”.

— Jest teraz portierem w hotelu miejskim.

— No, to co?

odgłosy str. 9



O roli Janka może odegrać balet w programie telewizyjnym piszący często, jednak spektakle takie rzadko widzimy na ekranach. O tej sprawie rozmawia red. Jerzy Panasiewicz z dyrektorem LOT Władysławem Orłowskim. Zanim uzyskamy odpowiedzi na postawione pytania podpowiadamy, że takie balety w wykonaniu zespołu Opery Łódzkiej jak „Giselle” Adama i „Noe Walpurgii” z opery „Faust” Gounoda warto by wznowić jesienią na szklanym ekranie.

A zdjęcie? Nie pochodzi z wymienionych baletów. Wzięliśmy je z paryskiego kabaretu „Lido”, który od czasu do czasu gości na antenie francuskiej telewizji.

Teatr (muzyczny) za szkłem

„La serva padrone”



W zasadzie realizator widowiska muzycznego w telewizji ma do wyboru trzy różnorodne rozwiązania techniczne, nie pozostające jednak — rzecz jasna — bez wpływu na ostateczny kształt artystyczny spektaklu:

I. Widowisko idzie „na żywo”, bez play-backu.

W takim wypadku odpada oczywiście kłopoty z synchronizacją głosu i artykulacji, trudności zaczynają się jednak jeżeli chodzi o utrzymanie kontaktu między wykonawcami, a orkiestrą i dyrygentem. Szczególnie przy widowisku wielo-dekoracyjnym, wymagającym zabudowania studia, nieraz jest po prostu nie sposób tak usadzić orkiestrę i ustawić dyrygenta, aby solści mogli z nimi harmonijnie współpracować.

II. Widowisko idzie — jeżeli chodzi o stronę muzyczną — z taśmy.

Tu główna niedogodność polega na utrzymaniu pełnej, czy choćby względnie poprawnej synchronizacji. Po mietajmy przy tym, że dodatkowo obciążenie uwagi dekoncentruje w jakimś stopniu wykonawców, „uszytywnia” ich, a śpiewacy żyjący i tak często z aktorstwem na baki, mogą być niemalże ośmieszeni przez bezbłędnie rejestrującą każdy fałsz kamerę.

III. Widowisko idzie z ta-

my, ale wykonawcami na wzięli aktorzy — chwyt stosowany często przy filmach operowych.

Pozornie unika się wszystkich kłopotów, niestety metoda ta jest tyleż żmudna, co kosztowna — obok nagrania, trzeba bowiem aby wykonawca — aktor również opowiadał partię wokálną, choć może jej — rzecz jasna — nie móc w pełni wyśpiewać. W wypadku przemierzania partii mówionych i śpiewanych, jak — powiedzmy — w operetce, barwa głosu aktora musi być przynajmniej zbliżona do barwy głosu śpiewaka, co przysparza dodatkowych kłopotów.

Jest także wyjście czwarte. Wyprowadzić się po prostu — jak uczyniła to w poniedziałek ubiegłego tygodnia telewizja warszawska — ze studia i zrealizować widowisko na estradzie Filharmonii Narodowej.

Zrealizować je z prawdziwym wdziękiem — miniaturę opery-buffa Pergolesiego „La serva padrone” („Służąca panią”) w znakomitym wokalnie wykonaniu Bogny Sokorskiej i Bernarda Ładyśa była, na nasz gust, małym cackuskiem ślicznie wystylizowanym i podanym z wyrafinowanym smakiem. Począwszy od przyodzianego na modłę epoki i ustrójonego w peruczki zespołu orkiestralnego na estradzie, poprzez niewinny chwyt z pulpitemi nutowymi dla solistów, bardzo dobrze w swojej niemej roli Bronisława Pawlika, po dyskretnie, powściągliwe aktorstwo, a może nawet markowanie aktorstwa przez parę wokalistów — wszystko było pomyślane i zakomponowane bezbłędnie.

Tylko że niewielka w tym zasługa telewizji, jako że Jan i Joanna Kulmowie przygotowali rzecz do realizacji w Pomarańczarni, a przed kamerzystami stały właściwie zgola nietrudne zadania...

Plany i nadzieje Łodzi

U PROGU JESIENNO-ZIMOWEGO PROGRAMU

Wywiad z Władysławem Orłowskim dyrektorem LOT



Słoneczko wprowadzić przegrzewa jak się patrzy, niemniej wkraczamy równie, panie dyrektore, w sezon jesienno-zimowy. Należy przypuszczać, że nastąpi jakieś ożywienie w łódzkim programie lokalnym, podobnie mamy nadzieję, że Łódź spróbuje śmiało wchodzić na ogólnopolską antenę. Czy i co mogliby nam pan powiedzieć na ten temat?

Zacznijmy może od programu lokalnego, gdzie przewidujemy dość poważne zmiany w audycjach typu dziennikarskiego, określanych zazwyczaj — chyba przesadnie — mianem audycji publicystycznych. Istnieje wyjątkowo zgodna opinia, że szkoda po prostu skomplikowanej aparatury wizerkowej, aby pokazywać siedzącego przy stole pana X, który prowadzi mniej lub więcej ciekawą rozmowę z panem Y — a przecież tak zazwyczaj wyglądały i jeszcze wyglądają te programy.

Trzeba tedy próbować jakoś rzecz utelewizyjnić, czy raczej utelewizyjniać, bo o sztywnych regułach nie może tu być mowy — każdy scenariusz wypadka traktować indywidualnie, ale zarazem i surowo, jeżeli chcemy poprawy na tym odcinku. W praktyce będzie się to zapewne wyrażało zwiększeniem ilości materiałów filmowych, czy — powiedzmy — tekstów czytanych przez niewidocznego lektora, przy jednoczesnym eksponowaniu zdjęć fotograficznych; nie wiem i nie chcę rozstrzygać, jakie i kiedy formy będą stosowane, w każdym bądź razie postaramy się, aby były to formy jak najbardziej wizerkowe.

Pierwsze jaskółki tych naszych reformatorskich wysiłków już się pojawiły na antenie — przykładowo wymienię ubiegłotygodniowy program „Spojrzenia i opinie”, który wszedł na miejsce magazynu „Wszystkie dni tygodnia”; o konkursie na tak zwaną „ramówkę” tego nowego programu już zresztą „Odgłosy” pisały.

A udział w programie ogólnopolskim? Przyczyna pan, dyrektore, że lokalny patriotyzm cierpi jakże, gdy widzimy audycje lecące jedna za

drugą z Warszawy, z Warszawy, z Warszawy... „Wiadoma rzecz stolica i każde słowo zbędne” — jak śpiewamy w popularnej piosence, ale czy naprawdę „i w ogóle i w szczególności”? Głównie chodzi o te „i w szczególności” — czy każda audycja, każdy program, muszą być realizowane pod znakiem syrenki?

Powiedzmy wręcz: według ramowego programu TV na okres jesienno-zimowy, ośrodki regionalne — a więc Katowice, Poznań, Łódź i w mniejszym stopniu Kraków, który posiada wóz transmisyjny, ale nie posiada studia — wypełniać go mają w 25 procentach. Jest to więcej aniżeli bywało poprzednio, przy czym istnieje zaobserwowany ten procentowy podział był jak najściślej respektowany.

Poszczególne audycje są na jako przydzielane z góry, no a jeżeli chodzi o resztę, to między ośrodkami regionalnymi będzie istniało coś w rodzaju wolnej konkurencji — kto złoży atrakcyjniejszy, a zarazem bardziej realnie propozycje, ten w większym stopniu będzie brał udział w programie ogólnopolskim.

Wypada tedy natychmiast zapytać: czy Łódź złożyła atrakcyjne propozycje?

Ba, na to nielato odpowiedzieć. Złożyła — ale czy okazała się one atrakcyjne?!

Ścisłej, czy zostaną uznane za atrakcyjne?

Kwestia sformułowania. W każdym razie spodziewamy się w IV kwartale bieżącego roku zrealizować z Łodzi dwa spektakle Teatru Telewizji, dwie „Kobry”, kilka koncertów rozrywkowych. Będzie nadal szedł „Kłopot”, redaktor Zbigniew Chyliński będzie nadal prowadził swój Młodzi Żowy Klub Dyskusyjny.

To brzmi raczej ogólnikowo...

Cóż pan chce — były urlopy, niektóre propozycje czekają jeszcze na zatwierdzenie w poszczególnych redakcjach, wreszcie do początku IV kwartału mamy jeszcze trochę czasu. Nie chciałbym nicwieć o czymś, co może nie dobieść się realizacji...

Och tak, wiem, na 9 czy 10 września był planowany koncert rozrywkowy, który w ostatniej chwili został zyskwalizowany. Nie chcę się nawet wglębiać, jak tam układają się stosunki ośrodka łódzkiego z warszawską redakcją audycji rozrywkowych, ale przynajmniej z pewnym niesmakiem obserwowałem, że prawie nagonkę, urządzoną przez niektóre periodyki warszawskie w odniesieniu do łódzkiego programu rozrywkowego. Sam nie zawsze się nim zachwycałem, ale to nie znaczy, aby wyklinać na wyrost i na zapas...

Cóż, to był chyba po prostu wyraz nieco monopolistycznych tendencji, jakie dość wyraźnie przebiegały z niektórych publikacji, ale jak widać ani



WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

my, ani inne ośrodki regionalne z anteny nie schodzą, więc nie ma się zaraz czym tak bardzo przejmować. No a jeżeli już tak bardzo chodzi panu o szczegóły, to powiem może, że w ramach Teatru Telewizji przewidujemy realizację ogólnej sztuki jugosłowiańskiej „Hammelkomando”, którą przygotowałby Jerzy Antczak.

Przypuszczamy również, że jedną pozycję zrealizuje u nas Kazimierz Dejmek — byłaby to jego druga, po „Warszawiance” Wyspiańskiego, praca dla telewizji.

Diakuje panu, dyrektore i spróbuję może z góry umówić się zdziś na początek października, kiedy plany LOT — w odniesieniu do programu ogólnopolskiego — bliżej się skontaktyzują.

Będę chciał również zadać panu wówczas kilka innych pytań, które na wspólnej wygodzie spróbuję może już teraz sformułować. A więc:

Prezes Sokorski wypowiedział się swego czasu, że gdzieś z roku 1963 zostanie prawdopodobnie wprowadzony II program telewizyjny, który nazywałby się „Tytułem próby — na Łódź i Katowice”. Czy dysponuje pan jakimiś bliższymi danymi na ten temat?

W jednym z artykułów sugerowałem, że w dobie intensywnych przygotowań do lotów międzyplanetarnych, interesujące byłoby wprowadzenie — równoległe do „Kobry” — jakiegoś teatru fantastyki. Myślałem, że może Łódź zechciałaby wystąpić z tą inicjatywą i proponowałbym nawet zupełnie konkretnie, aby zacząć od adaptacji nowej powieści Lema „Solaris”. Co pan myśli o tej propozycji i w ogóle o samej idei?

Mamy również inne jeszcze „hobby” — balet. Wydaje się nam, że taniec — miniatury baletowe, wszystkie małe, kameralne formy — jest niesłychanie wizerkowy i zupełnie, ale to zupełnie nie rozumimy, dlaczego w telewizji znajduje się on na najdalszym i najsłabszym z marginesów?

Rozm. J. PANASEWICZ

„Spojrzenia i opinie” Nr 1

Oj, niedobrze!

Jak już informowaliśmy czytelników audycji „Spojrzenia i opinie”, magazynowa telewizyjna łódzkiej pt. „Wszystkie dni tygodnia” przestała istnieć. Zastępuje ją nowy magazyn pt. „Spojrzenia i opinie”. Pierwszy numer ukazał się na antenie w ubiegły piątek. Trudno zaraz po pierwszej audycji dawać ocenę koncepcji ogólnej, oprawy formalnej, wreszcie zawartości magazynu. Należy się spodziewać, że będzie ona uległa zmianom na lepsze, bowiem to co widzimy, musimy także nam raczej wzdychać do dawnych „Wszystkich dni”.

Nowa audycja zrodziła się z wewnętrznego konkursu jaki rozpisła telewizja wśród swoich współpracowników. Nie jest nam wiadomo czy „Spojrzenia i opinie” są laureatem nagrody pierwszej, a jeśli by tak było, to niewiele się spodziewamy w przyszłości. Czy bowiem różni się nowy magazyn od starego? Niczym. Tak samo rozmowy i wystąpienia przed kamerą kierowane wprost do widza. Tak samo wstawki filmowe — ta największa atrakcja na jaka stała telewizja, tyle, że zamiast komentarza ściśle związanego z wizerką odczytuje się głosem pełnym egzaltacji zupełnie nie pasującym do filmu artykularyzatorskiego. Audycja spływa barokowym rytmem wymowy i pisania jej redaktorów. Przypominamy, że jest to jeden z elementów, który poprzedzał „Wszystkie dni”.

Wice od strony formalnej nie nowego. Aż zastanawia to pełne prowincjonalnego uporu sztywność „własnych dróg”, podczas gdy zespoły programowe innych miast wypracowały już formy godne uwagi, formy które na pewno wskazywały kierunek poszukiwań „telewizyjności” programu TV („Peryskop”, „Europejska”, „Telecho”, W radio „Muzyczna i aktualności” — gdy idzie o warsztat redakcyjny). Audycja ostatnia nadana równo w tygodniu po rozpoczęciu roku szkolnego poświęcono w całości sprawom szkoły i relacjom z uroczystości 1 września. Na relacje było oczywiście za późno, ale remanencje upłynęło. Natomiast „problemy szkoły” za wyjątkiem rozsadanego komentarza red. St. Mojkowskiego, były wydumane i na pewno nie najdosłowniejsze. Co kupić pani nauczycielce na imieniny to naprawdę kwestia bardzo marginalna. Natomiast problem konfliktów rodzice — pedagog nie jest tak mało ważny, by zatańczyć go rytmicznie i cofnąć do tyłu taśmą magnetofonową imitującą awanturę. Odkrywcze myśli na temat mundurowych były już prze cały sierpień drukowane w prasie. Pieniążka 1ie i z politykaniem odtworzona z karkł, opowiadająca o tym, że niektórzy rodzice mają nauczycieli za łapowarzy: („Komu gotówka komu walówka, komu prezenty, komu?!”) niestety umacnia tylko ówch rodziców w przekonaniu że łapówki i walówki trzeba dawać. Zie wymierzony cios, nieprzepraszanie trafianie ostrzem satyry wywiera skutek odwrotny, obraża i przynosi szkodę.

A więc nie jesteśmy zachwyceni. Bez zainteresowania oczekujemy na następnej audycji.



PROGRAM

na najbliższe dni

CZWARTEK, 14. IX, 61.
17.30 Program dnia (Ł). 17.35 Program publicystyczny (Ł). 17.40 „Guzik i petelka” program dla dzieci (W). 18.05 Reportaż z Muzeum Techniki — „Rok 2000” — program dla dzieci starszych (W). 18.55 „Ziemia zdrożała, sumentie stanęło” — program z cyklu „O wsi dla wszystkich” (Kraków). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 Program muzyczny „Bedzińskie zwały” w wyk. zespołu Piosenki i Tańca Ziemi Bedzińskiej (K). 20.40 PKF (W). 20.50 Teatr „Kobra” — „Pod biegunem” — wid. sensacyjne wg scenariusza Sidneya Stowarta (W). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 15. IX, 61.
17.10 Program dnia (Ł). 17.15 „Spojrzenia i opinie” (Ł). 17.45 „Nie było spokoju na naszym brzegu” — rep. wg scenariusza K. Lubelczyka (W). 18.25 „Wspomnienia o gwiazdach” — program filmowy (W). 18.50 „Akcja nieprze-partego szlaku” — młodzieżowy program publ. (Ł, ogólnop.). 19.30

Dziennik TV (W). 20.00 Wszelchnica TV — II program z cyklu „A-fryka” (W). 20.30 Proces Norwimburski — film dok. prod. NRR dozw. od lat 16 (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 16. IX, 61.

17.15 Program dnia i tygodnia (Ł). 17.30 Program dla dzieci. 1. Film prod. radiotelewizyjny „Podróż do Neopolu”. 2. Misa z okazji: 3. A co dalej? (W). 18.45 Rozmowy o programie (Ł). 19.00 „Pezaz” (W). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 Międzynarodowy Festiwal Muzyczny Współczesnej „Warszawska Jesień” — Transmisja z Filharmonii Narodowej (W). 21.00 „Amigo Cocotail” — program rozrywkowy. Praga Czeska (Katowice). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

NIEDZIELA, 17. IX, 61.

11.25 Program dnia (Ł). 11.30 Sprawozdanie z motorowych mistrzostw Polski (W). 13.00 Poranek muzyczny. „Muzyka dla ciebie” (Poznań). 13.40 Film z serii Disneyland (W). 14.30 Niedzielnia biesiada (Opole). 15.25 Teatrzyk dla Przedszkolaków „Co słonko widziało” wg M. Kononowicz (W). 15.50 „Szerokie drogi” — teleturniej (Ł, ogólnop.). 16.50 35 minut piosenek (W). 17.25 Sprawozdanie sportowe i PKF (Kraków). 18.45 Estrada Poetycka „Don Juan” — George Byrona (K). 19.30 Dziennik TV (W). 20.15 „Wieczórni sołtys” — film fab. prod. francuskiej od lat 10 (W). 22.15 Niedzielnia sportowa (W).

JAN HUSZCZA

Opowieść o pewnej gospodzie

Jedna spośród licznych gospód w naszym mieście wiele odnośnym władzom sprawiała kłopotu, a u mieszkańców dzielnicy od dawna nie cieszyła się dobrą sławą.

Nie dlatego, żeby w niej szczególnie źle gotowano i jakieś szczególnie kiepskie podawano dania! O, nie... W tej gospodzie, podobnie jak w wielu innych, zawsze mogłeś dostać do wyboru: klops z buraczkami, kotlet schabowy z kapustą, pieczeń wołową z buraczkami i kotlet mielony z kapustą. I tak było w każdej porze roku. Obsługa była niezbyt dobra, podobnie jak i w innych gospodach, tłuszcz nie wiele więcej zjeżdżał, a porcje mięsa zawsze poniżej normy, ale w miarę.

Zmieniał się kucharze, zmieniali się kierownicy (z upodobaniem i zawziętym, właściwym tego pokroju osobom, pletymtem szanującym pozycję jadłospisu i wszystkie wymienione przed chwilą okoliczności), a jednak do gospody zaglądali na obiad tylko ludzie przypadkowi, przyjeżdżający z prowincji, albo też klienci z innych dzielnic miasta, wieczorami zaś tylko amatorzy alkoholu, których z jedzenia interesowało najwyżej jajko w sosie tatarskim.

W gospodzie — o czym wiedzieli mieszkańcy dzielnicy — straszono od czasu, gdy przed jakimś ośmiu laty zmarł jej pierwszy kierownik, bardzo skądinąd sympatyczny grubas o twarzy nieco zniekształconej przez przebytą w młodości różę, który pierwszy wprowadził i utrzymał panującą w dwóch ciemnych salach praktykę kulinarną.

"Otóż tu częściej, niż gdzie indziej, kelnerom wymykały się z rąk talerze z gorącymi daniami, przez co u cierpiał niejedna damska pelisa i niejedna męska marynarka, stąd częściej niż w innych zakładach wynoszono płamy na spódnicach i spodniach. Stąd też w nocy wybiegały na zewnątrz, dochodzące do uszu przypadkowych przechodniów, jakieś bełkotliwe rozmowy, postępowanie w toalecie, głosne trącanie szklom o szklę, choć gospodę zamknięto regularnie na dwa kwadranse przed przepisaną godziną dziesiątą, a gdy raz wkroczyła do pomieszczenia zaalarmowana przez kogoś milicja, to w obu salach i w kuchni ujrzała idealny porządek i nikt nigdzie się nie ukrywał.

Odnośne władze nieraz drapały się w kilka głów naraz w związku z fatalną gospodą. Postanowiono nawet pewnego razu urządzić w niej drogerię czyli prze-

adaptować lokal. Jednak naczelnik odnośnych władz, który podpisał decyzję, wkrótce zupełnie nieoczekiwanie, choć był w rozkwicie lat i po raz piąty przeprowadzał unieważnienie swego małżeństwa, zachorował a jeden z robotników, który w gospodzie przystąpił z długim i młotkiem do zdzierania pięknej boazerii dębowej — tak się pośliznął na gładkiej przeciw podłodze, że lekarz z karetki pogotowia ratunkowego stwierdził skomplikowane złamanie podudzia.

Majster zaś, który miał kierować pracami adaptacyjnymi, ujrzał nagle przy bufecie, choć był przecież biały dzień, nie kogo innego, jak owego zmarłego grubasa, pierwszego kierownika. Majstra odwieziono do zakładu dla alkoholików, a lekarze stwierdzili u niego atak delirium tremens, aczkolwiek dzielny ten człowiek lubił sobie popić od dwadziestu lat i nigdy przedtem majaczenie drżenne mu się nie przytrafiło.

Wtedy odnośne władze gastronomiczne postanowiły zrezygnować z adaptacji, zostawiając w pomieszczeniu gospodę, a o nieszczęśliwych próbach świadczyła tylko zdjęta na przestrzeni paru metrów piękna boazeria dębowa.

Ale talerze starym sposobem wymykały się kelnerom z rąk, w nocy — gdy uliczne światła rozpalają się w mglistej bryli — przechodnie słyszeli bełkotliwe rozmowy, ktoś stękał w toalecie, bywało zaś i tak, że w wieczornych godzinach stojącemu przy bufecie klientowi nagle pękała trzymana w palcach szklana naczeka z bezcennym płynem, nim zdążył donieść ją do spragnionych warg. Wiele z tego powodu wynikało wcale hałaśliwych i nawet gorszących nieporozumień i kierownictwo musiało niekiedy klientom, którzy ucierpieli, wypłacać odszkodowanie.

Cóż więc dziwnego, że odnośne władze czuły się z powodu tej gospody jak by były stale chore na grype, gorączkowo szukano środków zaradczych, ciągle zmieniano personel, wykładano coraz to nowe książki zażaleń, przemieszczano stoliki i krzesła, ale na próżno!

Dopiero jakieś dziesięć dni temu zasłył wypadek, który sytuację gospody zmienił na lepszą, każąc jednocześnie różnie to sobie tłumaczyć lub kojarzyć.

Przed dziesięć laty mniej więcej dniami koleżny kierownik — człowiek dopiero wchodzący w praktykę kulinarną i jakiś na dodatek

szczególnie kapryśny — rozkazał kucharzowi, żeby na obiad — zamiast tradycyjnych od lat pozycji w jadłospisie — przygotował: zraziki po węgiersku, medalion cielecy, szczupaka z wody i bukiet jarzyn z jajkiem.

Następnego dnia tenże kapryśny i nawet porywczy kierownik, wymyślił jeszcze inny jadłospis, choć bronili się przed tym innowacjami kucharz z kuchcikiem, kelnerzy, a nawet sprzątaczk i magazynier.

Gdy trzeciego i czwartego dnia także nie udało się powrócić do sztywnego od lat jadłospisu (klops z buraczkami, kotlet schabowy z kapustą, pieczeń wołowa z buraczkami i kotlet mielony z kapustą), przestali działać się w fatalnej gospodzie rzeczy i wypadki dziwne, a nawet zaczęli do niej zaglądać na obiady także i mieszkańcy macierzystej dzielnicy.

Z tego niektórzy wysnuli wniosek, że to właśnie chodziło o jadłospis i że skończył się widocznie okres pokuty owego zmarłego kierownika gospody, który na całe lata narzucił ów sławetny jadłospis. Bardzo to być może, choć nie wszystkim taki wniosek w naszych racjonalistycznych czasach może trafić do przekonania.

Wielu jednak klientów ciekawi, co będzie, jeśli przypadkiem (a o taki przypadek niestety) wróci się do tamtego żelaznego jadłospisu? Czy znowu kelnerom zacząć się wymykać talerze z rąk i odezwać się w ciemne noce bełkotliwe rozmowy, czy znowu będą pękały w palcach niektórych osób o spragnionych wargach szklane naczeka z bezcennym płynem?

Jeśli chodzi o nasz pogląd, nie radzilibyśmy tego próbować nawet w naszych tak racjonalistycznych czasach! Niech śpi snem spokojnym ów pierwszy kierownik gospody, bardzo skądinąd sympatyczny grubas!



Nawiązanie do Lizystraty

Motto: Lizystrata, tytułowa bohaterka komedii starożytnego pisarza greckiego Arystofanesa (w przekł. polskim „Gromiwoja”), namówiła kobiety, aby nie wpuszczały mężów i kochanków do swoich sypialni, dopóki ci nie po-
niechają wojen...

Polska kobieto! Posłuchaj, ja ci chcę tu przypomnieć o Lizystracie.

„My albo uojny!” Tak babka owa umiała inne zmobilizować...

Trwał długo zamęt! Nie szczek oręża lecz Lizystrata w końcu zwyciężyła...

Polska kobieto! Znajdź powołanie w tym, by wśród mężczyzn mniej było drani!

„My albo draństwa!” Żądał wyboru, nie ustęp nigdy w imię honoru.

Jeżeli męża wessala sitwa, to niech spróbuje bez pieczęci wytrwać...

Gdy się do ciebie kacyk dobiera, „Nic z tego — niech brmi odpowiedź szczera —

nie dotkniesz piersi, nie ujrzyś uda, nim się ze skrucą do władz nie udasz!”

Nie będzie afer, gdy aferzysta z żadnego z wdzięków twych nie skorzysta.

Gdy biurokrata ma na ciebie chrapkę, załatw odmownie prośbę o lapkę.

Gdy ktoś chce wziąć cię do samochodu, wprzód spytaj, z jakich ma go dochodów?

Gdy w chuliganie zbudzisz uczucie, to zwlekaj, aż swych koleżków rzuci...

A jakaż dzielność choćby w okrzyku: „Idź precz z łapami, ty — łapowniku!”

Polska kobieto! Przez swą postawę niejedną zdolasz polepszyć sprawę!

Mniej będzie drani, sitwarzy i strat, gdy zwiększysz grono polskich Lizystrat!

Już wyobrazić sielankę mogę, a więc zważaj na to, co ci... Nie wędzaj tylko na cnoty drogę starsi panowie i impotenci!!!



ROMANS

(Z Koźmy Prutkowa)

Leże samotnie
Na miękkiej kanapie.
W izbie sąsiedniej
Ormianin sapie.

Sapie i krzyczy,
Tulac dziewczynę.
Wtem — pif, paf — słychać
Tam strzelaninę.

Pada dziewczyna
Skrwawiona srodze.

Kozak wyznaje
Miłość niebodge.

Niebo w księżycu
Lśni już lazurem,
A czapka miga
Srebrzystym sznurem.

Wiecej Ormianin
Obok nie sapie.
Leże samotnie
Na miękkiej kanapie.

Wskazówki i marzenia

Lubisz pić dobrą kawę, naucz się sam ją zaparzać.

* * *

Patrz w przyszłość i w dal, ale przechodząc przez ulicę nie zapominaj, że może cię przejechać samochód.

* * *

Uwspółcześnić nazwy! Chciałbym np. kupić wodę kwiatową o nazwie „Remanent” albo w restauracji poprosić o porcję dorsza à la Lesz...

* * *

Jeśli padają deszcze, nie zgłaszaj o to pretensji pod adresem FWP!

* * *

Łódzianie! Zanim wybierzesz się do kina, teatru lub filharmonii — umyj nogi!

* * *

Jeśli nawet jesteś ubezpieczony, nie skacze do jeziora nie umiejąc pływać!



Zdemaskowanie rzekomego J. I. Kraszewskiego

Niejakiego Wiktora Banasika od kilku miesięcy grasował po kraju, występując z wieczorami autorskimi w perferorynych świetlicach jako popularny pisarz polski, J. I. Kraszewski.

Dopiero w Turbinach Małych miejscowy kierownik wydziału kultury zauważył, jak Banasikowi przed występowaniem — za kulisami scenki Domu Kultury — odkleiła się sztuczna siwa broda.

Ten pozornie mało znaczący wypadek wystarczył dzielnemu kierownikowi, aby wpaść na trop beczelnej mistyfikacji.

Jeszcze jeden głupi kawał

Na jednej z bocznych uliczek Łodzi od kilku miesięcy tamował ruch przechodniów i pojazdów postawiony w poprzek szlaban z latarką i napisem: „Uwaga! Roboty drogowe!”

Dopiero wczoraj wyszło na jaw, że ten szlaban z latarką i napisem był dziełem nieodpowiedzialnych kawalarzy.

Wydaje się, że odpowiednio czynnikom powinny we wszystkich miastach polskich dokładnie skontrolować podobne co do wyglądu szlabany z latarkami i napisami!

Sybir Polaków — inaczej

Dalszy ciąg ze str. 7

zieniem dla spotęgowania lirycznego wzruszenia. „Omsk (...) Drepczemy po stwardniałej od chłodu ziemi obok pasa startowego. Nie mogę nie myśleć, że oto znajduję się w miejscu, dokąd zsyłano tysiące Polaków na mękę trudnego, prymitywnego życia, na straszliwe mrozy i cierpienia. (...) Irkuck (...) Czuje do siebie niechęć i jak by niesmak. Jest chyba w tym jakiś nieakt, że rozpartym w wygodnym fotelu próbuję rozważać sprawy ludzi, którzy odbywali tędy drogę w straszliwej męce (...) Przeciw eksponowaniu jednak tylko momentów mar-

tyrologii autor gorąco protestuje. „Dla każdego Polaka pojęcie „Sybir” kojarzy się z klęskami narodowymi, niewolą, powstaniami i cierpieniami. Nie potrafimy wyjść poza te ogólniki, nie mamy wiedzy o tym, co robili na zesłaniu nasi rodacy”. Tylko przypomina więc nazwiska wybitnych Polaków — zesłańców, których imiona weszły do geografii i historii tego kraju, a są niemal zapomniane w ojczyźnie. Przypomina także, że ogół zesłańców, a powołuje się tu także na opinię Maksymowa, wywarł ogromny wpływ na zagospodarowanie i kulturalny rozwój Syberii. To polscy w głąbie wprowadzili tu uprawę maku, pietruszki i selerów, fasoli i kawonów. Oni

wprowadzili w użycie plug „Najlepsza pszenica za Bajkałem nazywa się „polka” (...) Niewątpliwie jednak trwalszy i skuteczniejszy był wpływ Polaków, którzy się poświęcili uczeniu dzieci (To już Maksymow!)... Szerzyli oświatę w najodleglejszych i najbardziej zacofanych kątach, w których, gdyby nie oni, trwałaby jeszcze mrok”. Obok nazwisk Polaków pojawiają się często nazwiska zesłańców Rosjan i to nie byle jakie. Spotykamy wśród nich Radiszczewa i Odojewskiego, Bestużewa i Dostojewskiego. „Przez kilka wieków Rosja carska oddawała Syberii wiele z tego, co w niej było piękne i światłe”.

Godne najwyższego szacunku

ku jest to, że ci ludzie, oderwani od własnego środowiska, od spraw najbliższych nie zatamali się, że umieli podjąć pracę w takich warunkach w jakich ich nie najlaskawszy los postawił i tam dokonać rzeczy niezwykłych, nieść oświatę i kulturę pódziłkim plemionom, lub dokonując odkryć geograficznych czy przyrodniczych na skalę nie mniejszą, niż zdobywców nowych wód, na rozległych oceanach. Warto o tym powiedzieć młodym, kilkunastoletnim czytelnikom, dla których książka jest przeznaczona i przypomnieć tym nieco starszym, wychowanym w kręgu lektur Anhellego.

Nienacki posiada talent właściwy archeologom i histo-

rykom — umiejętność odczytywania w śladzie, w okrucie jakiegoś wydarzenia — szerokiach perspektyw historycznych. Umiejętność analizy i syntezy, a nade wszystko niemal detektywistyczną zdolność rekonstruowania.

„Pozwolenie na przywóz lwa” jest tylko pozornie książką pozbawioną powieściowości planu, relacją o „zbiegach okoliczności” i przypadkach. To tylko kokietylne pozory. W ślósie autor bardzo umiejętnie gospodaruje wątkami — historycznym, awanturnym — i podróżniczym, by utrzymać w napięciu uwagę czytelnika, co przy licznych dygresjach nie jest takie łatwe. Odcyduje często na krótko. Kiedy wydaje się, że dłużyzna, że już nie sposób dłużej wytrwać przy tym, co sobie prywatnie myśli autor na rozmaite tematy — zaskakuje przygotowaną, trąnącą polną, ukazującą wewnętrzną logikę powieści.

Ma do powiedzenia dużo, prawd może nawet nie nowych, ale już nieco zapomnianych. Robi to z umiarkowaną pasją i świeżością młodości. Może więc trafi do młodego odbiorcy, którego nauczy cenić „wariackie pasje szukania” (...) i „drobne, krucho uczucia i urojenia, choć wydają się śmieszne i niepoważne, bo przecież właśnie one, (...) a przede wszystkim ich bezinteresowność — czynią człowieka naprawdę wartościowym”.

HALINA SKROBISZEWSKA

Zbigniew Nienacki „Pozwolenie na przywóz lwa”, Warszawa 1961, Nasza Księgarnia, Wyd. 1 str. 319, zł 18.

odpisy str. 11



Paczka Pawła spotkała na autostradzie warszawskiej. Za Strykowem. Leżeli pod lasem oczekując na samochód. Na powitanie podnieśli ręce.

Paweł, wysoki niegolony długo chłopak, modnie ostrzyżony, energicznie potrząsał swoją ręką.

— Dokąd wóz prowadzi? — spytał.

— Na trasę. Do Warszawy.

— Jedziemy razem — zdecydował.

„Czwórka z plusem” czyli „paczka” Pawła, to czterech dryblasów i bardzo ładny, aczkolwiek znużony „plus”. Baska. Między „plusem”, a czwórka była pewna różnica. „Plus” był ładnie, gustownie ubrany. Obcisłe spodnie ukazywały zgrabną sylwetkę. Owalał twarz z zadartym nosem opłoty niesforne kosmyki jasnych włosów. Na pozostałej czwórce wisiły, jak na gałęzi starego drzewa brudne, połatane spodnie.

— To dla wygody. Nie trzeba prac ani prasować spodni — odpowiedział na moje spostrzeżenie.

Przyłączyłem się do „paczki”. Pawła. Jurek położył się na trawie. Gwizdał cicho. Janek szarpał struny gitary. Mruczał pod nosem „Włazi kotek”. Baska nie zwracała na nich uwagi. Dlaczego zatem jeździł z nimi? Skąd ich zna? Odeszliśmy nieco. Baska zaczęła mówić.

— Poznałam ich wczoraj na trasie. Jechali wozem, kiedy zatrzymałam ich. Na autostradzie szybko zawiera się znajomości. Myślałam, że są to fajne chłopaki. Polubiłam Pawła, ale on taki flegmatyk. Nie wie jak zabrać się do dziewczyny.

— Wzięliśmy ją ze sobą — mówił potem Paweł — bo na autostradzie najlepiej jeździć w paczce. Baska przyda się na wabika.

Na horyzoncie widać małą sylwetkę woła nadjeżdżającego samochodu.

— Baska na trasę — krzyknął Paweł — a my za drzewa.

PRZYGODA KIEROWCY

Pisk hamulców oznajmił, że samochód zatrzymał się. Baska przeskoczyła nam ledwie widoczny znak ręką. Wskoczyliśmy z za drzew. Młody kierowca furgonki nie był zaskoczony naszym niespodziewanym pojawieniem.

— Moglibyście wymyślić coś nowego. To już za stary kawał — powiedział.

„Paczka” Pawła usadowiła się w furgonetce. Dla mnie zostało miejsce obok szoferki.

— Pan mi jakoś nie wyglą-

da na autostopowicza, sam nie wiem dlaczego. Mówiąc szczerze to mam potworne szczęście do naszych letnich klientów. Dwa tygodnie temu, kiedy leciałem furgonetką do Sieradza, zabrałem za Pabianicami kilku facetów. Wiozłem wtedy owoce. W pobliżu Mękiej Woli wyczułem podejrzany ruch w tyle wozu. Spojrzałem w lusterko. Włosy ziężyły mi się na głowie. Moi autostopowicze rozbiłali skrzynie z owocami. Zatrzymałem wóz, ale oni uciekli w pole.

— Nie mógł pan jechać do milicji?

— Bałem się, że wyrzucą mi wszystkie skrzynie. Chciałem też pogadać z nimi. Sześć, że nie wyrzucili owoców. Inaczej placilibym za nie. Milicja też by nie nie wskórała. Wie pan, taki facet rano jest w Łodzi, a wieczorem trzysta kilometrów dalej.

— Jest jeszcze komisja, która kontroluje autostopowiczów.

— Panie, co pan w duchy wierzy. Już trzy lata wożę autostopowiczów i jeszcze żadnej komisji nie widziałem. Moi koledzy też nie mieli z nią do czynienia. Toć to najczystsza woda w strumyku.

— Mimo to pan zabiera autostopowiczów?

— A czy wszyscy ludzie są jednakowi? Ja lubię tę formę turystyki. Sam jeździłem na gapę.

Wypadek, który opowiedział mi młody kierowca furgonki nie był bynajmniej odoobniony. W ubiegłym roku kierowcy pisali do redakcji „Muzyki i aktualności”, że autostopowicze niszczyli im wozy. Wypadki przecinania plan-deki samochodów były na porządku dziennym. Pewnemu kierowcy, autostopowicze wyrzucili ze skrzynki śledzie. Inny kierowca skarżył się, że turyści z książeczką w ręku rzucali w przejeżdżające samochody i przechodniów puścili butelkami. Nie chciałem tutaj generalizować pojęcia, że robią to wszyscy autostopowicze. Nie wszyscy rzucają butelkami. Nie wszyscy mają tak oryginalne pomysły urozmaicania sobie czasu jazdy samochodem. Ale opinia o nich idzie w świat i nie dobrze służy autostopowiczom.

BABKA, TO FRAJER

Zapadający zmierzch zastał mnie w Srodzie koło Poznania. Trzeba gdzieś znaleźć nocleg. Jeden z mieszkańców skierował mnie do gospodarza K., który rzekomo chętnie pomagał autostopowiczom. Poszedłem na drugi koniec wsi. Gospodarz siedział przed domem. Pykał fajką.

— Czy mógłby pan mnie przemocować, bo słyszałem...

— Idź pan do diabła. U mnie nie hotel.

— Ludzie mówili...

— Panie, bo spuszcza psa.

Ciekaw byłem dlaczego skierowano mnie do tego właśnie gospodarza i sposób w jak ten gospodarz zareagował na prośbę. Wyjaśnieniem legitymacji dziennikarskiej Gospodarz oglądał ją nieufnie. Zgodził się przemocować mnie w stodole. Po ko-

lacji spytałem go dlaczego jest tak wrogo ustosunkowany do autostopowiczów.

— W ubiegłym roku przyszło do mnie sześciu chłopaków z plecakami. Mówili, że są z autostopu. Chcieli przemocować. Powiedziałem, że mogą wyspać się w stodole. Wieczorem, po kolacji moja córka poszła do obory po wiadra. Te chłopaki zaczęli ją zagadywać. Córka długo nie wracała, więc poszedłem po nią. Pod płotem jeden z nich całował ją. Myślałem, że mnie krew zaleje. Nic im nie powiedziałem. Rano ich już nie było, ale zostawili po sobie pamiętkę. Zrzucili mi siano na klepsko.

Trudno dziwić się gospodarzowi, że chce szczuć psami każdego autostopowicza. Stojąc w Łodzi, w kolejce do kina słyszałem rozmowę, z której wynikało, że na autostradzie, można bardzo łatwo przespacerować się z naiwną dziewczyną. Stasiek Z., jeden z uczniów liceum ogólnokształcącego na Chojnach, poznał podczas wędrowki autostopowej dziewczynę z Gdańska. Dość zasobną w pieniądze. Jeździł teraz z nią po całej Polsce. Przedstawił się jako student z Krakowa. Dziewczyna myśli o nim poważnie. A on?

— Będę się trzymał jej



dopóki będzie za mnie płacił. Braknie forsy, to wracam do Łodzi. Baska, to frajer. Najważniejsze, to nie tracić okazji w życiu.

POSTĘPOWA MŁODZIEŻ I NAIWNI RODZICE

Wędrując autostopem, można dowiedzieć się wielu ciekawych spraw. Oł, choćby w jaki sposób czternastoletnia dziewczyna bez wiedzy rodziców jeździła autostopem. Jak kupuje książeczkę. O tym jacy naiwni są rodzice.

Jadwiga H. chciała koniecznie wyruszyć na trasę. Na przeszkodzie stanęła matka. Nie pozwalała jechać. Dziewczyna pomyślała i genialny pomysł sam przyszedł do głowy. Napisała list do koleżanki w Koszalinie. Ta z kolei nie chciała być złą koleżanką. Przyłądziła Jadwidze list, w którym zaprosiła ją do siebie. Matka zgodziła się. Teraz wyrosła nowa przeszkoda. Jadwiga nie miała osiemnastu lat i zgodnie z regulaminem nie mogła otrzymać



książeczki. Przysłowie mówi, że prawdziwych kolegów poznaje się w biedzie. Więc Jadwiga dzwoniła prosząc, by kupili jej książeczkę. Urzędniczka w PTTK wydała książeczkę in blanco szesnastoletniej pannicy. A przecież regulamin wyraźnie mówi, że powinna mieć ona zezwolenie rodziców.

Krystynę M. poznałem na trasie. Ładna, wyglądała na osiemnastoletnią pannę. W rzeczywistości miała lat szesnaście. Powiedziała ojcu, że jedzie do rodziny. Zdziwienie ojca było duże, kiedy będąc w Szczecinie stwierdził, że córki wcale nie było u rodziny. Od dwóch tygodni Krystyna zaś z kolegami wędrowała autostopem.

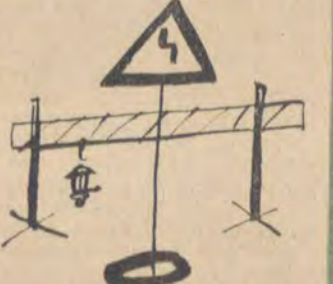
Siedemnastoletni Leszek zastosował chyba najbardziej oryginalny pomysł. Chcac wędrować autostopem pokazał rodzicom wypełnioną ankietę na wyjazd do Bulgarii z grupą ZMS. Ankieta zabrał ze sobą na trasę. Z dumą pokazywał ją.

Podobnych wypadków nabierania rodziców mógłbym tu przytoczyć wiele. Nie starczyłoby miejsca w numerze. Ale nie o to chodzi. Aż dziw bierze, że rodzice są tak bardzo naiwni.

BLASKI I CIENIE AUTOSTOPU

Autostop podobnie jak wszystko, co istnieje na świecie posiada swoje złe i dobre strony. Spróbujmy krótko podsumować te pierwsze.

O autostopowiczach krąży między ludźmi fama, że go-



nią za tanią przygodą z chłopcem. Okazja ku temu jak najbardziej sprzyja. Rodzice nie widzą, nie mogą więc skarcić.

Często także chłopak jeździ dla przygody, kosztem naiwnej dziewczyny. Przykładem tu może być Stasiek Z., dla którego autostop, to okazja do wykorzystania pannicy z forsy. Na trasie spotkałem Zbyszka, który opowiedział mi o swej przygodzie. Całą „paczką” zatrzymali się w Warcie. Trzy pary Gospodarz dał im miejsce w stodole. I tam spali razem z dziewczętami.

Autostop wyrasta na poważnego konkurenta komunikacji samochodowej i kolei. Często autostopowiczów wychodzi z założenia, że książeczka autostopu może z powodzeniem zastąpić im bilet kolejowy. Wyjeżdżają do rodziny, znajomych bez żadnych celów krajoznawczych. A to wypacza cel autostopu. W myśl regulaminu istnieje komisja kontrolująca tego typu turystów. Przy odpowiednio zorganizowanej kontroli można by uniknąć podobnej sytuacji. Tyłko, że ta komisja istnieje na papierze.

Pokazując tylko ciemne strony autostopu można poznać czytelnikowi na wyrobienie sobie niezbyt prawdziwego obrazu o tej formie turystyki. Ale przecież radio i prasa codziennie informują o rolnikach, którzy dziękują młodym turystom za pomoc przy żniwach. Niektórzy autostopowicze są uprzejmi, uczynni. Ale jest ich zbyt mało, biorąc pod uwagę wielką popularność autostopu.

Wydało mi się, że dobrze byłoby, gdyby organizatorzy zmienili system wydawania książeczek. Mogłoby wydawać je szkoły, komitety zakładowe ZMS i PITK dla swoich uczniów, czy członków. Wtedy wyeliminowano by możliwość zaopatrzenia w książeczkę osób, którym regulamin zabrania tego. Trzeba bowiem dążyć, by ludzie nie kiwali głową gdy mowa o autostopie. Trzeba dążyć, by rodzice bez obawy pozwalali swym córkom i synom wyjść na trasę autostopu.

KONKURS NA SZTUKĘ LALKOWĄ DLA DZIECI

Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi łącznie z Oddziałem Łódzkim Związku Literatów Polskich ogłasza ogólnopolski konkurs o twarty na sztukę lalkową dla dzieci o tematyce dowolnej.

1. Na konkurs mogą być nadsyłane tylko sztuki nowe, nigdzie dotąd nie składane, nie wystawiane i nie drukowane, oryginalne lub przerobione z utworów niescenicznych (powieści, bajek, baśni).

2. Winny to być sztuki pełnospektaklowe o objętości 35—45 stron maszynopisu (czas trwania widowiska około 1 1/2 godziny) dla wieku szkolnego; względnie krótsza dla dzieci młodszych (objętość mniej więcej 30 stron, czas trwania — 1 godzina).

3. Sztuki powinny posiadać specyficzne cechy lalkarskie, tzn. nadawać się do wystawiania swoistymi środkami sceny lalkowej.

4. W zasadzie obsada sztuki nie powinna przekraczać ilości 10 aktorów.

5. Prace, opatrzone godłem, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach (maszynopis) na adres: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — Wydział Kultury w Łodzi ul. Ogrodowa 15.

6. Termin nadsyłania prac konkursowych upływa dnia 1 marca 1962 r.

7. Za najlepsze utwory przyznane będą nagrody w wysokości:

I nagroda: zł — 5.000.

II nagroda: dwie po zł — 3.000.

III nagroda: trzy po zł — 1.500.

Jury konkursu zastrzeżenie sobie prawo innego podziału nagród.

8. W skład jury wejdą przedstawiciele:

Prezydium Wojew. Rady Narodowej w Łodzi.

Komisji Kultury Wojew. Rady Narodowej.

Związku Literatów Polskich.

Związku Polskich Artystów Plastyków.

Państw. Teatru Lalek „Pinokio”.

Sekcji Lalkarskiej SPATIF.

Polityka na ulicy

Dokończenie ze str. 2

żadnego zmysłu politycznego i do końca tkwią w świecie iluzji.

Mój Boże! Gdyby przynajmniej obserwator chciał wyrobić sobie pogląd na odporność psychiczną naszego społeczeństwa na podstawie obserwacji tylko ostatnich dni, runu na niektóre towary w sklepach, doszedłby do niepokojącego wniosku. Ale byłby to wniosek powierzchowny i nieprawdziwy. Dotyczyłby on bowiem znacznej mniejszości, a może nawet nikomej mniejszości. I z pewnością fałszywie politykującą. Ograniczając swój świat do objętości worka soli lub maki. To są właśnie ślady polityki przedwojennej kawiarni, której echa znajdujemy w przytoczonym fragmencie Cata. Tow. Gomulka nazwał tę część polityków ludźmi naiwnymi i ograniczonymi — którzy chcą żyć bezpiecznie zakupu-pod normalne potrzeby, „a tym swoim postępowaniem oddają tylko przysługę wszystkim imperialistycznym siłom wojny... dezorganizują bowiem rynek, zaopatrzenie...” Uogólniając postępowanie tej części ludzi „o malej, egoistycznej duszy”, wyrzadzilibyśmy krzywdę większości.

Wbrew bowiem utartemu mniemaniu przeciętny obywatel sięga do wielkiej polityki i nie daje się zwieść pozorom, nawet, jeśli zaniepokojony pewnym zastrze-

niem sytuacji, idzie częściej do sklepu. Zmiany, jakie nastąpiły po wojnie, polegają m. in. i na tym, że na ostateczny sąd, powiedzmy, ministra spraw zagranicznych, składają się głosy całego narodu. Dziś już wiemy, że istnieje najwyższa wartość, która nazywa się interesem narodowym i wyrasta z doświadczenia narodu, co obchodzi całe społeczeństwo. Z doświadczeń opartych na bolesnej rocznicy Radogoszczy, na gorzkiej lekcji II wojny światowej. Wiemy też, że pojawiła się siła klasowa, która umie tego narodowego interesu bronić.

Może właśnie dlatego współczesny Polak jest mimo wszystko spokojny i w ten sposób nawiązuje do „wielkiej polityki”, odzegnując się od „matych, egoistycznych dusz”, martwych dusz, które nie potrafią pojąć, że „sily pokoju są większe od sil wojny, a im są większe, tym pewniejszy jest pokój”

CIVIS

SPROSTOWANIE

W ostatnim numerze „Odgłosów” wkraśli się przykrzy błąd: nazwisko autora artykułu „Kleska”, p. ZBIGNIEWA JANA CHOJNACKIEGO — na skutek „owocnej” współpracy grafika i korektora zostało zniekształcone. Przepraszamy Autora i Czytelników.

RED.

Redaguje zespół O. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 89, Tel. 244 78. O Warunki prenumerat: miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,—. O Redakcja nie zamawia reklam. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. O Skonsolidowane oraz PTPK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 19. O Zam. 2556, IX L-4